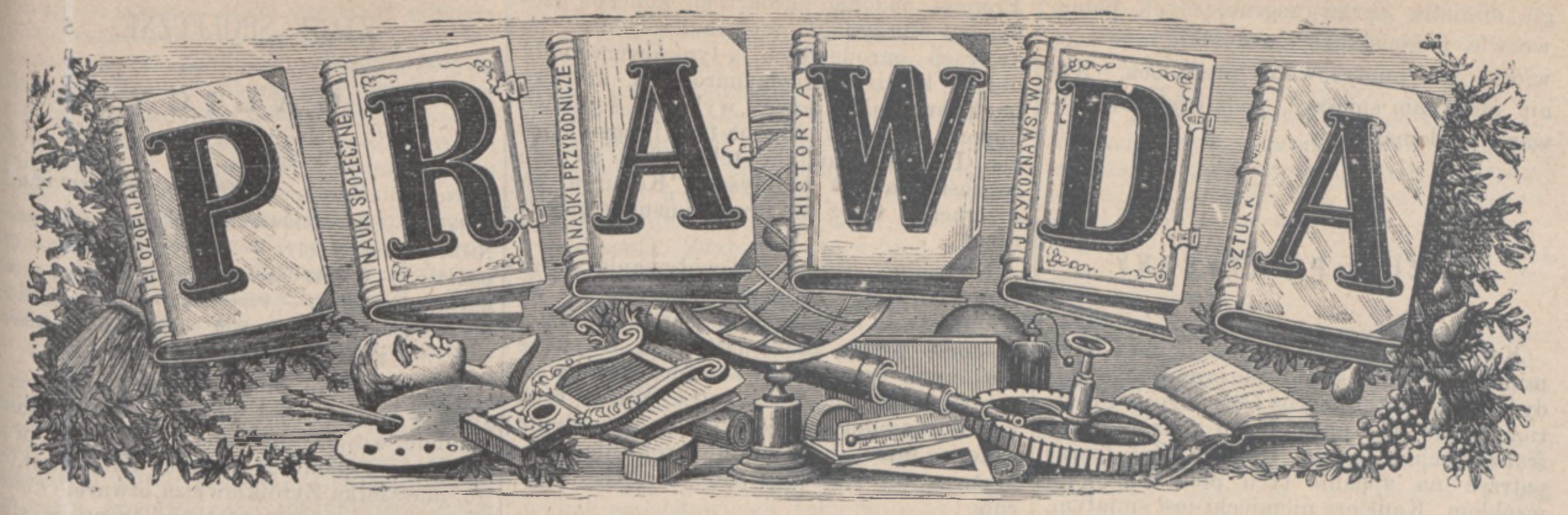
№ 41. Warszawa, dnia 8 Października (26 Września) 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

FOLWARK DYPLOMATYCZNY.

Doprawdy możnaby mniemać, że stolicą Europy jest Friedrichsruhe, z którem tę godność dzieli tylko Warzin. Gdyby wstał z grobu dyplomata, który umarł przed 20 laty, nie poznałby świata i jego stosunków politycznych. Do gospodarza folwarku zjeżdżają się ministrowie, rządcy wielkich państw, a niektórzy z nich, jak np. hr. Kalnoky, robią to corocznie w pewnych terminach, niby naczelnicy wydziałów, zjawiając się z raportami u swego prezesa. A dodać trzeba, że najgorliwszym służbistą i podwładnym jest tu minister mocarstwa najsromotniej rozbitego przez tę Głowę — przedstawiciel Austryi, którą ów Bismark znieważył, wygrzmocił i pozbawił dostojeństwa.

Za innymi pojechał do folwarku złożyć pokłon gospodarzowi Crispi. O rozmowach poufnych naturalnie prasa wie tyle jedynie, ile potrzeba dla wyrobienia piasku, zasypującego oczy opinii publicznej. Ale przez grubą korę tajemnic zaczyna przesiąkać powoli prawda a przynajmniej prawdopodobieństwo kierunku sekretnych robót, które tem łatwiej odgadnąć, że wynikają one z ogólnego a dawno znanego planu. Istnieją dziś już stwierdzone fakty, zawiasy, na których się obraca polityka niemiecka: 1) Bismark pragnie utrzymać Niemcy w zbrojnem pogotowiu z dwu stron — zachodniej i wschodniej; 2) nie chce rozpoczynać wojny, ażeby nie stanąć między dwoma ogniami; 3) dla wzmocnienia swej pozycyi, która mu jednocześnie pozwala zachowywać przeważny wpływ podczas pokoju, usiłuje otoczyć się przymierzami. W Austryi oddawna już posiada sojuszniczę niewolniczą, do niej więc, a pośrednio do Niemiec przylepia rozmaite związki. Sprawą bułgarską związał z Austryą Anglię, teraz przyczepił Włochy. Odegrał on tu — jak mniemamy — rolę notaryusza: Kalnoky z Crispim zawarli przed nim kontrakt spółki politycznej, wymierzonej przeciwko Rosyi i Turcyi. Interes przeprowadzony został bardzo mądrze. Przyjazd ministrów austryackiego i włoskiego przedewszystkiem podtrzymuje urok potęgi Niemiec i ich wielkorządcy, dalej — zakrywa przed światem grę właściwą, której celem jest wzmocnienie Austryi wobec Rosyi. Pod płaszczem pokoju został tu schowany oręż, który dziś lub jutro nie będzie dobyty dla rozlania krwi, ale kiedyś w starciu zbrojnem błyśnie. A starcie to dziś jest już tylko kwestyą niedalekiego czasu. Tak dłużej trwać nie może—oto jest zdanie powtarzane wszędzie i ciągle. Wiara w nieuniknioną wojnę ogarnęła wszystkie umysły, gdyż zaczynają głosić ją nawet już usta półurzędowe. Wyszarzany i czasem jeszcze przez najmitów obnoszony po rynkach frazes z różdżką pokoju jest jednem z największych i najbezczelniejszych kłamstw, jakie krążyć mogą śród łatwowierności ludzkiej. I tylko ta łatwowierność, zniżona aż do prostoty dziecięcej, zaufać zdolna zapewnieniom idącym z Friedrichsruhe, że tam w krypcie dyplomatycznej nie składano przysiąg i ofiar bóstwu wojny. Nie przeczymy, że dla wielu i to pierwszorzędnych czynników życia Europy nie jest ona pożądaną, a natomiast podtrzymanie stanu obecnego byłoby nader przyjemnem, ale na przeciwną szalę padają żywioły inne, które ją przeważają samą swą masą a domagają się zmian głębokich. Chwila obecna stała się przez to właśnie groźną, że wszelkie pierwiastki poważniejsze zacięły się w uporze i nie chcą sobie wzajemnie zrobić żadnych ustępstw, lecz dyktują sobie warunki układu dla obu stron do przyjęcia niemożliwe.

Wielkim myślicielem ks. Bismark nie jest, a rozum jego często z doraźnych korzyści wybrnąć nie może i zbyt ulega ich ponęcie, ale w każdym razie trudno mu odmówić bystrości patrzenia w rzeczywistość. Nie wyobraża on sobie zapewnie, że swoją wolą, siłą, stosunkami zdusi każde przeciwieństwo, że zgarnie z nieba chmury i umrze pod jasnem, pogodnem. Przeciwnie, obserwacya i instynkt wskazują mu, że żadna moc katastrofy nie zażegna, że powietrze Europy musi się oczyścić burzą. On tylko ma nadzieję i pragnie, ażeby ta burza przeleciała nad Niemcami, wysypała swe grady i pioruny po za ich polami.

A jednakże, jeśli taki orkan spaść musi, powinien przejść głównie po Niemczech i zniszczyć w nich wszystkie trucizny, wszystko robactwo, wszystkie twory drapieżne i krwiożercze, które stamtąd po Europie się rozbiegają. Na nieszczęście nie widzimy w niej dotąd poważnych usiłowań wytworzenia przeciwwagi dla potęgi niemieckiej. Anglia, Włochy, Austrya, Hiszpania weszły w sferę ciążenia ku germańskiej bryle, Berlin, a raczej Friedrichsruhe pozostaje ogniskiem systemu polityczno-planetarnego, Bismark zaś — Dalaj Lamą dyplomacyi, istotą, która działa już nietylko swą mocą, ale jakimś niepokonanym urokiem, strachem, grozą tajemniczą. Po za kołem władzy i wpływów tego Jowisza nie dostrzegamy Prometeuszów, tytanów zbuntowanych a tyrana szczerze nienawidzących. Wskoczą na niego nawet karły, gdy raz ta aureola pryśnie, gdy raz mu się noga powinie, a tego dokonać mogą, w braku potężnych jednostek, tylko wypadki, które często skuteczniej pokonywają, niż mądre rachuby. Kanclerz niemiecki raz zwyciężony, będzie zwyciężony na zawsze— tak wytężył swą władzę nad umysłami i tak wytężyła się przeciw niej nienawiść.

Tymczasem używa on w całej pełni swoich praw wyjątkowych. Wezwał teraz włoskie-

go ministra spraw zagranicznych, potem wezwie angielskiego i wszystkie inne wiewiórki zahypnotyzowane przez boa. Kto nie może tam spieszyć, podziwia zdala folwark dyplomatyczny.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ks. Bismark miał do Watykanu i Kryminału „przesłać konkretne propozycye zgody i stąd wynikła podróż Crispiego do Friedrichsruhe.“ Tak prawi jeden z dzienników francuskich a za nim telegraf. Żal bierze patrzeć na sypanie tych plew naiwnym wróblom. Kanclerz niemiecki jest śmiałym, bywa nawet zuchwałym, ale w odwadze swojej nigdy nie byłby do tego stopnia nierozsądnym, ażeby wsadzał palce między drzwi cudze, ażeby wtrącał się do wewnętrznych spraw państwa włoskiego, tem bardziej, że jako polityk już papieża zdobył, a jako protestant losem jego wcale się nie zajmuje. Widocznie bajka ta jest już za zbyt podziurawiona i niezdolna do okrycia właściwego wątku narad we Friedrichsruhe, skoro Crispi wyśmiał ją w rozmowie z korespondentem *Frankf. Ztng.* Leon XIII nie przeszkadza przędzeniu takich bajek i wogóle całej legendy o adwokaturze ks. Bismarka, bo ona jest pewnego rodzaju reklamą dla jego roszczeń i rozdmuchuje gasnącą ustawicznie kwestyę rzymską, ale w to wszystko nie wierzy. Jego poprzednik i imiennik, chwaląc się, że pewna bajka przyniosła mu wiele dochodu, dał przykład, iż takimi środkami gardzić nie należy.

Cesarzowi austryackiemu do mowy tronowej przy otwarciu parlamentu węgierskiego wsunięto banalny frazes o bezpieczeństwie pokoju, ale prasa znająca się na delikatnych tonach tego frazesu, zauważyła, że on tym razem miał nieco chłodniejszą temperaturę. Rzeczywiście wyglądał tak, jak gdyby wykształcony, nie rozniosło go też dalekie echo po skałach dziennikarskich. Gdy dawniej pytano, co może być powodem do wojny — wskazywano ten lub inny zatarg; dziś wskazuje się wszystko: Bułgaryę, cła, nienawiści plemienne, itd.

Bułgarya, naturalnie, pozostaje ciągle najbardziej widomem jabłkiem niezgody. Rozum już się zmordował rozwiązywaniem tego węzła i odstąpił go humorowi. We Francyi podobno narodził się koncept, ażeby ks. Ferdynand wyjechał w podróż po dworach europejskich, a tymczasem rządy objęła komisya międzynarodowa, któraby przeprowadziła nowe wybory sejmowe i przez nie wywiodła na tron innego księcia. I taką banialukę telegraf po świecie roznosi! Na cóż ta odysseja Koburga „po dworach?“ Czyż nie prościej usunąć go odrazu?

Nietrudne zresztą przewidywania nasze sprawdziły się: Bułgarya rozpada się na stronnictwa, rozdzierana coraz bardziej w sferze prawa przez partye, a w sferze bezprawia przez bandy zbrojne, które weisnęły się do niej z zewnątrz. Wirów tych ks. Ferdynand szczęśliwie nie przepłynie i utonąć musi, jeśli mu ktoś ręki nie poda. Może o tej ręce radzono we Friedrichsruhe!

Irlandczycy podnieśli rękawicę i gotują się do walki z Anglią. Przedewszystkiem, jako ludzie praktyczni, wysłali delegatów do Ameryki dla porozumienia się z tamtejszymi współwyznawcami i otrzymania od nich pieniędzy. Wiadomo, że z Ameryki najsilniej podtrzymywano irlandzki ruch rolny, a krwawe ręce, bomby dynamitowe, „bandy księżycowe,“ itd. były tworem fenian z za Oceanu. Niewątpliwie i teraz dadzą oni rodakom pomoc — pomoc, od której Anglia zadymi się i zakrwawi. Gladstone, przyjmując deputacyę wielbicieli, oświadczył, że przyszła Izba gmin będzie inną i że sprawa irlandzka musi być niedługo rozstrzygnięta w duchu sprawiedliwości. Czy „wielki stary mąż“ nie łudzi się i nie przypisuje swym rodakom więcej sprawiedliwości, niż oni przyznać jej mogą — innym.

Zajście na granicy francusko-niemieckiej przycichło, widocznie ks. Bismark i w tym wypadku okazał uprzejmość nienawidzącym go sąsiadom. Młodego Schnaeblego kazał ułaskawić, wdowie zabitego dojeżdżacza zapewnić wynagrodzenie pieniężne (którego ona nie przyjęła), pomimo że prokurator niemiecki starał się umyć zabójcę z niewinnie przelanej krwi i zaprzeczył jakoby strzały padły na terytoryum francuskiem. Prokurator francuski zbadał i przedstawił zajście całkiem przeciwnie — i zdaje się, że w Berlinie uwierzono obcemu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 1 października.

Hałaśliwy rok. — Odwiedziny ministra oświaty. — Niebezpieczne prądy. — Opozycya czeska. — Cel podróży. — Wabiki urzędowej gazety. — Pobyt ministra w Krakowie. — Przestroga na przyszłość. — Sprawa gimnazyum w Bochni. — Dyplom honorowego obywatelstwa i dar Matejki.

Nie pamiętam doprawdy tak hałaśliwego roku w Galicyi, jak obecny. Uroczystości żałobne, wesołe, poważne gonią jedna drugą. Dość wspomnieć pogrzeb Kraszewskiego, marszałka Zyblikiewicza, otwarcie *Collegium novum*, podróż następcy tronu, wystawę krakowską, odwiedziny węgrów, rozliczne zjazdy, a wreszcie ciągłe wizyty najwyższych dostojników państwa. Zdaje mi się, że niejeden z naszych „wielkich ludzi,“ co to z obowiązku przerzuca się we frak lub mundur i spieszy witać przybyłą z Wiednia figurę, a potem musi brać udział w uroczystym obiedzie na cześć dostojnego gościa, przeklina w duchu te ustawiczne odwiedziny i wzdycha za skromnym domowym obiadkiem i wygodnym szlafrokiem.

Obecnie mamy na porządku dziennym znów odwiedziny najmłodszego wiekiem i urzędem z pomiędzy austryackich ministrów — d-ra Gautscha. Odwiedziny te obudziły w całym kraju naszym, a nawet po za jego granicami niepospolitą ciekawość.

I nie dziw. Młody, zaledwie 35-letni dyrektor wiedeńskiego *Theresianum* (zakładu wychowującego dla państwa, a raczej dla rządu samych ściśle prawomyślnych obywateli i urzędników), wyniesiony został nagle do godności najwyższego kierownika spraw oświaty w państwie. W kilka miesięcy już zaznaczył się całym szeregiem przeważnie drobnostkowych reform, które podrażniły wielu, a nikogo nie zadowoliły. Wślad za tem poszły rozporządzenia, które dotknęły boleśnie całe warstwy ludności. Najważniejszą z dotychczasowych zmian było ogromne podwyższenie opłaty w szkołach średnich, środek wprost reakcyjny, bo w ten sposób zatamowano całym warstwom uboższej ludności przystęp do ognisk wyższej oświaty, a utrudniono go w wysokim stopniu klasie średniej. Wreszcie w najnowszych już czasach odsłonił minister swe

---

3)

KRYMINALISTA.

— I ty mogłeś zamordować pięcioro ludzi, ty?.. Nie, to być nie może!..

I w tej chwili stanęła mi przed oczami owa scena z bułką i dwojgiem dzieci.

— Zamordowałem — była krótka, ostra odpowiedź, ale w niej drżał jakiś ból, z którego wydobywało się serce na wierzch.

W tem tkwić musi jakaś zagadka, pomyślałem, jakieś nieporozumienie, ten człowiek nie mógł popełnić czynu, za jaki pokutować będzie w katordze przez życie całe... on by tak mówić nie mógł... Uważałem nawet, że wyraz: zamordowałem, wypowiedział z pewną dumą, jaką zdradza człowiek, chcący pochwalić się dobrym uczynkiem.

Nagle Maksym się ożywił, nieproszony na ławie przy mnie usiadł, za rękę chwycił i mówić począł:

— Tak, pięcioro ich było, ojczulku! Tatuś taki siwiutki jak gołąbek, zgarbiony, podpierał się kijem, bo ledwie nogami włóczył; matuś także niewiasta zażywna, także zgarbiona i siwiuteńka, tylko się już ruszać biedaczka nie mogła... siedziała tylko na stołku, a precz patrzyła, czy miski do izby nie wnoszą... czy nie dadzą jeść... bo zawdy naturę taką miała, że głodną była... Potem była jeszcze mołodyca piękna, jak krew z mlekiem różowa, krasawica taka, że choć patrzaj tylko, a pokłony czołem bij... z jagodami niby maliny, z oczkami, ojczulku, takiemi, co się jak węgle świecą .. z kosą długą, czarną, co choć z niej postronki kręć. Był młodszy brat od niej, mizerne to jeszcze do pracy, ale zawsze już podrosły niezgorzej — i jeszcze jedna siostrzyczka najmniejsza, robaczek taki maleńki, co ledwie gadał, a tylko jedno ciągiem powtarzał: chleba i chleba!.. Wszyscy tak byli, ojczulku kochany, wszyscy, choć ich do rany przyłóż! Ludziska poczciwi, ni jednego nigdy w chacie nie brakło — a ja z nimi, ojczulku, z nimi... Ja i drwa rąbał i około roli chodził, wszelkie gospodarstwo sprawiał, matusię ze stołka na łóżko przenosił, a tatusia tom podpierał, gdy z domu wychodził, krasawicy pilnowałem, żeby jej nie urzekli, z chłopcem w pole chodził, a robaczkowi malutkiemu do ust chleb nosił... Dobrzy ludzie byli, dobrzy, ani słowa, przyszedł Jan święty, to mi buty nowe sprawili, przyszedł Nowy Rok, to i dla Maksyma się coś znalazło. Lubowałem też ich, lubowałem z duszy całej ojczulku, z serca całego. Aż przyszła godzina, czarna, czarniuteńka, ojczulku. Tatuś zaniemogli, żyd miał zabrać grunt za długi, w domu chleba zabrakło, wszystko miało iść na bruk, na bruk goluteńki, ojczulku. Raz przyszła ona do mnie, z temi oczami dużemi, z tą kosą, coby z niej postronki kręcić można, z temi jagodami niby maliny i korale i powiedziała mi...

— Maksymie, Maksymie mój, źle jest, oj źle, tatuś i matusia chorzy, zmarnieją charłactwo biedne, kozły i ja nie podołamy, a dziś chleba niema, niema już Maksymie...

Gdy mówiła te słowa, to z oczów jej łzy tak leciały jedna za drugą... ojczulku... Oj nieszczęsny ja, myślałem sobie, żebym ci mógł tę każdą łzę twoją na dukaty przemienić — na czerwoniuteńkie... tak... toby tobie i dobrze na świecie było; ale ja nie Pan Jezus, nie święty, nie czarownik... cudów nie uczynię... Co robić?.. co robić?.. myślałem sobie... Co tu jednak pomoże myślenie takie, choć głowę ukręć, ojczulku!.. nic, kiedy w kieszeni ni grosika, ni jednego, a tylko dwie ręce przy sobie do pracy... Choćbym żydowi łeb ukręcił?.. To przyjdzie drugi, dom i grunt zabierze. Choćbym gdzie co ukradł?.. Ba, kiedy wokół żyli tacy sami, jak oni?.. Co im ukraść?.. powiedz sam ojczulku kochany... co?.. Z krasawicą co niedziela do kościoła chodziłem i mszy i kazania pilnie zawsze słuchałem i dobrze sobie wbijałem w głowę, co ksiądz mówił...

plany wcale wyraźnie, zarządziwszy zwinięcie całego szeregu szkół średnich, przeważnie czeskich, a odmawiając utworzenia nowych lub uzupełnienia niekompletnych. Rozporządzenie, tłomaczone niedostatecznem uczestnictwem uczniów w niektórych z pomiędzy zwiniętych zakładów, tudzież brakami finansowymi, w dziwnej stoi sprzeczności z poprzedniemi oświadczeniami ministra, gorliwego rzekomo poplecznika spraw oświaty, a przedewszystkiem żarliwego obrońcy humanitarnego wychowania młodzieży. Wogóle mimo zręczności, z jaką Gautsch odgrywał swą rolę, dla patrzących trzeźwo i nieuprzedzonych widocznem było i jest, że minister w państwie, w którem mają być równe prawa dla wszystkich, oddaje stanowczo pierwszeństwo niemcom, że jest zwolennikiem daleko idącego samowładztwa wbrew konstytucyjnym zasadom państwa, że nawet staje się niebezpiecznym dla dążeń autonomicznych i narodowych, bo reformami swemi obejmuje dziedziny, należące do sfery działalności krajowej rady szkolnej.

Oczywiście okoliczności takie nie mogły całkiem ujść uwagi publicznej. Już podwyższenie opłaty szkolnej spotkało się z krytyką prasy nie bardzo dla ministra pochwalną. Ostatnie jednak zarządzenia sprowadziły na głowę jego cały szereg gromów. Czesi zwłaszcza, silnie redukcyą gimnazyów dotknięci, wystąpili w bój otwarty. Wprawdzie artykuły dzienników ulegają konfiskacie, a wiece, zwoływane dla podjęcia walki konstytucyjnej, rząd rozwiązuje, niemniej jednak opozycya czeska jest nazbyt jawną, sięgającą aż do głębin całego narodu i, dodajmy otwarcie, dla pana ministra nie bardzo miłą. Za krótko jeszcze siedział na fotelu ministeryalnym, a fotel to tak wygodny, zwłaszcza dla człowieka trzydziestokilkoletniego, który na tem stanowisku niby Zeus rzucał grom za gromem na strwożonych śmiertelników?

Tymczasem zbliżył się dzień otwarcia sesyi Rady państwa. Czesi głoszą wyraźnie, że w parlamencie zaatakują ministra i wzywają polaków, ażeby ich w tej walce popierali. Polskie pisma niezawisłe, o ile nie podległy konfiskacie, starają się udowodnić konieczność tego poparcia, wykazują niebezpieczeństwa grożące z rąk samowładnego ministra. Prasa zaś urzędowa i dzienniki dobrowolnie urzędowe myją zawzięcie p. Gautscha z wszelkiej winy, przedstawiając, że on prócz chęci usunięcia proletaryatu inteligencyi, który u nas niby zbyt już zaczynał się mnożyć, żadnego złego zamiaru nie żywił, że wreszcie skutkiem tych zarządzeń młodzież skierowaną zostanie do szkół przemysłowych, fachowych, a kraj dostanie w ten sposób tak pożądany zasób ludzi praktycznie wykształconych. Co do przyszłej walki parlamentarnej i co do stanowiska, jakieby polacy w niej zająć mieli, nie padły jeszcze z ust wybitniejszych polskich osobistości parlamentarnych żadne wyraźne oświadczenia. Zdaje się, że w tych warunkach panu ministrowi zaczęło być nagle dość gorąco w Wiedniu, bo zdecydował się na dłuższą podróż na północ i to nie do Czech, gdzie opozycya jest niewątpliwą, ale do — Galicyi.

Poprzedziły tę podróż rozgłośne trąby heroldów, którzy z równą służalczością i uniesieniem witają i głoszą sławę ludzi wszelkiej barwy i przekonań, jeżeli tylko widzą w nich przedstawicieli jakiejkolwiek władzy. Z obowiązku uderzyła pierwsza w te fanfary urzędowa *Gazeta lwowska*: „Obecny minister oświaty nie powoduje się żadnemi uprzedzeniami. Dla Galicyi okazywał przy każdej sposobności żywą sympatyę; niedawno powołał kilka młodych sił polskich do pracy w ministeryum oświaty i ma zamiar powołać tamże jednego z profesorów gimnazyalnych. Stypendyum dla kandydata na profesora fizyologii i anatomii w uniwersytecie lwowskim — zawiązek możliwego wydziału lekarskiego (jak to zgrabnie wplecione!) — zatwierdził z gotowością. Pod jego auspicyami przyszło do skutku *Collegium novum* w Krakowie, a minister brał żywy udział w uroczystości tej, występując wszędzie z wielkiem uznaniem i sympatyą dla Galicyi. To też niewątpliwie i podróż swą odbędzie p. minister *ożywiony najlepszemi chęciami* dla naszego kraju."

Oto tło, na którem urzędowa gazeta wysnuła szereg rad i migocących obietnic. Ostatni ustęp artykułu, nader charakterystyczny, bo wskazujący, w jaki sposób u nas łapie się ryby na wędkę, powtarzam dosłownie: „Jeżeli znajdują się w szkolnictwie naszem sprawy, potrzebujące wyjaśnienia, jeżeli społeczeństwo nasze ma w tym kierunku żądania, oparte na prawdziwej potrzebie, to obecność szefa administracyi szkolnictwa austryackiego w pośrodku nas powinna się przyczynić do wyjaśnienia niejednej sprawy, do zwrócenia uwagi p. ministra na nasze żądania i do przekonania go o rzeczywistem uprawnieniu tychże. Dr. Gautsch chce poznać stosunki i potrzeby szkolne naszego kraju, niechże sfery właściwe zadanie to mu ułatwią. Jeżeli dobra chęć i przedmiotowość z jednej strony napotka na odpowiednie przedstawienie rzeczy i dobre poinformowanie z drugiej strony, to wynik współdziałania tych dwóch czynników musi być dla kraju i społeczeństwa naszego korzystny." W ślad za tym głosem syrenim uderzyły w taką samą strunę pisma partyi rządzącej w kraju: *Czas* i *Przegląd*. Czyż ten harmonijny akord gazet, broniących stale interesów sfer rządowych, nie naprowadza na myśl, że tu idzie o grubszą grę, o plany dalej sięgające?

W tej chwili minister gości już trzeci dzień w naszym kraju. Kroki jego dotychczasowe cechuje nadzwyczajna życzliwość i łaskawość. W Krakowie wszędzie i wszystko chwali. W gimnazyach sam egzaminuje (jako b. dyrektor *Theresianum* ma być w tym kierunku należycie uzdolnionym i zna się pono dobrze na nauce gimnazyalnej), chwali postępy uczniów zwłaszcza w języku niemieckim*). W szkółce freblowskiej zachwycony jest śpiewem małych dzieci, w seminaryum nauczycielskiem postępami uczniów w grze na skrzypcach i organach tudzież w śpiewie, w szkole żeńskiej chwali rysunki i roboty ręczne a podziwia wzorowy porządek. Tak samo tylko pochwały znajduje dla szkoły realnej, szkoły sztuk pięknych itd., z zajęciem ogląda obie wystawy krakowskie i z uznaniem o nich się wyraża. Co więcej! Rzecz niebywała: pan minister zakupuje na wystawie sztuki za 2,000 złr. z funduszów państwowych obraz T. Lisiewicza przedstawiający Chrystusa z uczniami i daruje go Krakowowi dla tamtejszego muzeum narodowego!

Doprawdy, mimowoli wyrywa się z piersi wykrzyk: *Timeo Danaos et dona ferentes!* Czy też ta cała przejażdżka, te pochwały, dar dla muzeum, oględne odpowiedzi na prośby kilku deputacyi, nie zawierają w sobie oczywistej tendencyi zjednania polaków dla podtrzymania p. Gautscha na chwiejącym się pod naciskami czechów fotelu ministeryalnym? Po kampanii parlamentarnej z pewnością wszystko wróci do dawnego stanu: na potrzeby galicyjskie okaże się znowu brak funduszów. Statystyka będzie dalej wykazywać, że w całej Austryi nie ma ani jednej prowincyi, w którejby szko-

*) Znaczące to wobec głosów, które nawet w parlamencie się podnosiły w ostatnich czasach a zarzucały upadek nauki języka niemieckiego, komicznego w dzisiejszym ustroju państwa (*przyp. Red*)

W Bogu nadzieja zawsze, w Bogu, powtarzał, w każdej biedzie, w każdem nieszczęściu. A no! kiedy ten Pan Bóg taki dobry, pójdę do niego, pomyślałem... pójdę, powiem mu wszystko, co na duszy siedzi, chyba pomoże, pokłonię się i Matce Boskiej i Józefowi świętemu i staruszkowi Mikołajowi z siwą brodą, świecę na jarmarku kupię, choćbym ukraść miał... Nie ukradłem jednak, ale koszyków parę z wiciny zrobiłem, do miastam poniósł i na targu sprzedał... Dali mi sporo kopiejek za nie — świeca dla świętego Mikołaja była gruba taka, jak twoje dwie pięście, ojczulku! W niedzielę, jak zwykle, do kościołam poszedł, panu Bogu po cichu wszystko opowiedział, przed Matką Bożą dwie godziny leżałem, a kiedym świecę świętemu Mikołajowi zapalał, to wszyscy się oglądali na mnie... No! jeśli teraz nie pomoże, pomyślałem sobie, to już widać dla biednych i w niebie łaski i sprawiedliwości niema... Czekałem na tę pomoc ojczulku, czekałem dzień jeden, drugi i tydzień po próżnicy... Aż tu wieczoru pewnego, gdym na przyzbie kosze swoje plótł — patrzę, idzie do mnie krasawica, obok siada i niby to śmieje się a płacze...

— Co to ci, lubko moja? — pytam...

— At nic, Maksymie — odpowiada — Pan Bóg się zmiłował, ratunek jest... przyszedł...

— A czegóż ty łzy ronisz?

— Bo, taka dola smutna...

— Gadajże lubko, mówże, gadaj...

— Ot widzisz, wracając wczoraj z miasteczka, spotkałam tego z karczmy, co na niej siedzi...

— Tego tłustego, obrzydłego niemca? — pytam.

— A tego — odpowiada.

— A żeby jego choroba wielka zatłukła— powiadam, a ona do mnie:

— Nie klnij Maksymie, nie klnij, bo on powiedział, skoro do niego w służbę pójdę, to i staruszków wybawi od biedy, i gruntu żydowi zabrać nie da!.. A przytem poklepał mnie po twarzy i powiedział, że mi bardzo będzie dobrze u niego...

Znałem ja tego łajdaka, ojczulku, znałem, gałgan to wielki, i wiedziałem, co znaczy u niego służba, dla takiej krasawicy jak nasza lubka...

— Ty nie pójdziesz do niemca w służbę — zawołałem — nie, nie pójdziesz, ja cię nie puszczę, choćbyś chciała...

— A tatuś z matusią i robaczkiem maleńkim z głodu umrą, z głodu... ludzie mówią, że to śmierć straszna...

Wiedziałem ja o tem, i taka mnie złość na świętego Mikołaja wzięła za taką pomoc, iż zaraz postanowiłem nazajutrz do kościoła iść i świecę moją odebrać. Nie chcę takiej pomocy, nie chcę takiego ratunku, niechaj lepiej zdychają z głodu, niech zdychają — myślę sobie...

I poszedłem nazajutrz do kościoła... Wchodzę... patrzę na stwórcę najwyższego, siedzi jak zawsze w wielkim ołtarzu na obłokach, przed Bożą Matką lampy się palą, a święty Mikołaj patrzy na mnie, jakby się śmiał... Poczekaj, zabiorę świecę, kiedyś taki, myślę, ale tu ludzie klękają, ksiądz z monstrancyą przy ołtarzu, kadzidło w nosie kręci, a wszyscy śpiewają „Przed tak wielkim sakramentem!.." Kolana mi się same ugięły, zapomniałem o mojej świecy i razem z innymi śpiewać zacząłem... Śpiewy się skończyły, ksiądz monstrancyę postawił na ołtarzu, sam na boku usiadł, a drugi za niego na ambonę wszedł i odczytał najpierw ewangelię świętą, a potem mówić zaczął...

A jak on to pięknie rozpowiadał, ojczulku! O Bogu Ojcu i o Jezusie, co siedzi na prawicy jego, i o aniołach, co śpiewają tak pięknie i o sądzie ostatecznym, na którym wszyscy pospołem zasiędą do uczty, i biedni i bogaci, i wielcy i mali. A mówił tak z dobrą godzinę... jam precz słuchał i niebo podobało mi się bardzo... bo tam ubodzy i nieszczęśliwi, jak powiadał ksiądz, szczęście i wesołość znajdą... Do nieba więc, do nieba dążcie wszyscy, mówił, pamiętam to jak dzisiaj, bo tam szczęście najwyższe, radość i spokój... O! te wyrazy najlepiej wbi-

ła średnia przypadała na 135 tysięcy mieszkańców, podczas gdy w Galicyi jedna przypada na 205 tysięcy. Znowu prasa będzie kołatać o wydział medyczny dla uniwersytetu lwowskiego, o polepszenie doli suplentów i o zaspokojenie wielu innych jeszcze piekących potrzeb dla rozwoju oświaty kraju, ale wtedy sojusznicy parlamentarni nie będą p. Gautschowi potrzebni a zresztą w danym razie tak łatwo im zamydlić oczy obietnicą i... obrazem!

Ale zaślepienie ludzkie bywa nieraz bez granic. W Bochni istniało dotychczas tylko niższe gimnazyum. Na przyrzeczenie rządu, iż zostanie uzupełnione, jeżeli miasto do tego się przyczyni, wybudowała Bochnia kosztem 80,000 złr. okazały gmach na pomieszczenie całego gimnazyum. Tymczasem obecnie przed otwarciem nowego roku szkolnego oznajmił minister oświaty, „że ku swojemu ubolewaniu nie może na razie uczynić zadość słusznemu żądaniu gminy“— czyli, że gimnazyum nie zostanie uzupełnione a gmach niech sobie stoi. Wrzawa trwała jakiś czas po ogłoszeniu odpowiedzi p. Gautscha, ale trudno, trzeba było pogodzić się z losem. Tymczasem w programie podróży pomieszczono i Bochnię. Rozradowały się dusze poczciwych ojców miasta i z pospiechem godnym lepszej sprawy uchwaliły dla pana ministra niemca w przeddzień jego przyjazdu do miasta... honorowe obywatelstwo! Pan minister oczywiście uradował się wielce dyplomem, chwalił nowy gmach, ale na ponowne prośby „z ubolewaniem“ powtórzył swą poprzednią odpowiedź.

Biedna Bochnio! Przyjmij wyraz mego rzetelnego współczucia i nie łap na drugi raz ryb przed niewodem. Twoim ojcom miasta nie zawadziłby także dyplom, ale — odmiennego rodzaju.

Niech się jednak pocieszą, że nie sami wybrali się ze swym darem. Matejko, jak donosi gazeta urzędowa, „przepełniony wdzięcznością za opiekę, jaką minister otacza nasze szkolnictwo, ofiarował mu piękny szkic do obrazu (Chmielnicki, przysięgający wierność Rosyi, w cerkwi Perejasławskiej) a p. Gautsch przyjął *łaskawie* ten cenny upominek, z zapewnieniem, że zachowa go jako najcenniejszą pamiątkę.“

Bochnia i Matejko — to początek! Dość na dzisiaj, pióro wypada mi z ręki...

Leszek.

Pierwsza wystawa sztuki polskiej.

Kraków, wrzesień 1887.

Na samym wstępie uczuwasz, że to kraina na krótko przynajmniej egzotyczna. Pokłonami witają cię kwiaty, z pośród których jak na jakiemś cmentarzysku włoskiem połyskują białe marmury. Tu przeważnie rzeźba się rozsiadła, ale żyjącym, nie cieniom poświęcona. To p. Gujskiego przepyszne biusty kobiece, a obok nich dysząca życiem głowa Asnyka. Tam też lub nieco dalej w jednej z komnat przyległych odnajdziesz dawnych znajomych. Dzielny gladyator Piusa Welońskiego, z bronzu odlany, obwieszcza cezarowi, że gotów na śmierć a tyle ma męztwa i potęgi w ruchach i postawie, jak gdyby sam do cezarowego należał rodu. Wdzięczna Thetis klęczy przed Jezusem, przypominając konkurs warszawski, na którym nagrodę przyniosła twórcy swemu p. Lewandowskiemu. Kopernik z bronzu— Rygiera choć nie podoba się wielu idealistom dla braku piękna genialności i patetycznego udrapowania— jest przecież zawsze zajmującym właśnie ze względu na realizm pojęcia. Tutaj też zwracają uwagę inne utwory Lewandowskiego jak *Zgon Wajdeloty* zrozumiany bardzo klasycznie a więc... banalnie. Takich bardów widzieliśmy już zawiele, czas by skrócić im nieco brody i trochę uporządkować za bujne włosy. Chybionym nieledwie jest posąg *Słowianina, zrywającego pęta.* Gdyby nawet w pomyśle samym nie było przesady, pozostałaby wadliwość postawy, która nie ułożyła się wcale do wielkiego naprężenia i wysiłku mięśni ręcznych i nożnych. Ażeby odzyskać pierwotną czystość smaku, obrażonego nieco, radzę przenieść wzrok na *Zachwycenie Parysa* i *Herodyadę* W. Gadomskiego lub pełne gracyi i delikatności rysunku oraz wykończenia symboliczne płaskorzeźby Błotnickiego, z których jedna przedstawia *Noc*, druga *Dzień.* Od czasu słynnych plafonów Makarta wielokrotnie motyw ten wyzyskiwano w rzeźbie i malarstwie, w tym razie jednak piękno uderza świeżością, głównie może dzięki wybornemu kontrastowi postaci: bożka, pełnego siły męzkiej, sypiącego dokoła blaski słoneczne, oraz bogini pełnej gracyi niewieściej, kwieciem maku spuszczającej sen. Wspomnę jeszcze o Barączu, dobrze u nas znanym, którego *Geniusz wolności* zarówno trudnym jest do opisania jak zdolnym do wzbudzenia zachwytu, o Holtzu, Bełtowskim, autorze alegoryj paru z drzewa lipowego, Hoszowskim, Marcinkowskim, Moszu, Różniatowskiej, Zawiejskim i wielu innych, którzy, jak Wójtowicz, dużo ciekawych nadesłali studyów.

Ale idę dalej i ramy widoku rozpierają się, bom wstąpił do jednej z dwóch wielkich sal podłużnych, poświęconych malarstwu. Wieczór czyni z nich miejsce wrażeń romantycznych, tak upaja przepych kolorów, eleganckie urządzenie i dźwięki muzyki, dochodzące z vestibulu; niejeden obraz pogrąża się wówczas w pół-tajemniczym mroku i silniej do widza przemawia; inne za to, w pośrodku ścian umieszczone, zapożyczają od lamp jarzących niezdrowego światła i ukazują się niezupełne, pokryte białawemi smugami. Za to w dzień, gdy promienie słoneczne przedzierają się przez okna matowe w górze sklepienia, widzi się wszystkie wygodnie. Na dwóch przeciwległych ścianach zawieszono *Hołd pruski* i *Pochodnie Nerona*, które całej galeryi mniejszych, kupiącej się dokoła, majestatycznie królują. Dwaj mocarze pędzla przytomni więc są płótnami jednych rozmiarów a przeciwstawieni sobie w ten sposób szczególne budzą refleksye. Skąd do tego mistrza, o postaci mizernej, postawie i chodzie filistra-małomieszczanina, wziął się koloryt tytana, jędrny i mięsisty, jak gdyby zaczerpnięty z życia jakichś plemion kopalnych, pół-gigantyczny, a przecie tak tryskający potęgą żyjącego ducha? A tam naprzeciw marmurowa białość Rzymu, wstrzymującego oddech swój zatruty przed sceną ciekawych katuszy. Obadwaj roztoczyli niezrównany przepych barw ale znać, że jeden to poeta cywilizacyi zdrowej i silnej, wszystko jedno — sarmackiej czy gotyckiej — drugi miłośnik miękkiej, bogatej w marmur, złoto i szafir nieba, rozpieszczonej i zniewieściałej.

Darujcie odskok ku znanym tematom ale i znanych nam obrazów jest tu dużo. Wybierać ich nie odważę się; wystarczy chyba zapewnienie, że większość celniejszych płócien z obu wystaw warszawskich tu się znajduje. Stawili się na miejscu: Gerson z *Opłakanem apostolstwem*, dowodzącem niezbyt trafnego wyboru, Merwart z *Mojżeszem zabijającym egipcyanina*, Horowitz ze świetnym portretem p. B., Mirecki, Kotsis, Jankowski, Tepa z niezrównaną głową starca w akwareli, Schouppé, Pruszkowski, Szyndler, Krudowski, Styka, Kozakiewicz, Szermentowski, Wolski, Rozen, Roztworowski i wielu, wielu innych. Lecz chociaż wzrok się do nich przyzwyczaił, bada z rozkoszą ponownie, bo im odpowiedniejsze niż u nas rozmieszczenie i towarzystwo właściwy nadają wygląd.

Najlepsza przecież cząstka uwagi przypada w udziale dziełom nowym, po raz pierwszy dopiero na widok publiczy wystawionym lub też ogółowi naszemu obcym. Zaliczyćby można do nich szkic mistrza Jana do *Poświęcenia dzwonu Zygmunta*, w którym modlący się biskup, starzec o dziwnie rzewnem i łagodnem, zanadto może miękkiem obliczu — jakąż samą ekstazę oczyma swemi wypowiada. Nie brak tu także portretów tego samego pędzla, pomiędzy którymi Zyblikiewicza nie uderza bynajmniej podobieństwem.

W wieńcu młodszej rzeszy artystycznej ma dar wzbudzania powszechnego zajęcia kreacya najnowsza Ajdukiewicza, przedstawiająca *Arabów modlących się na pustyni.* Nęci ku sobie gorącym kolorytem dalekiego wschodu, na którego tle grupa wędrowna odprawia swe modły, wabi urokiem natury nieznanej, opromienionej szkarłatem zaczerwienionego słońca, posępną poczyą chwili i bohaterów. Byłoby wybornem *pendant* do innego utworu o kolorycie oryentalnym, na szczęście zdobiącego wysta-

ły mi się w pamięć. Wyszedłem z kościoła i myślałem znów sobie... Tam szczęście najwyższe, radość i spokój... A czemuż ci ludzie tak życia żałują, ot głupi ludzie, ojczulku! Tatuś tam w niebie nie potrzebowałby opierać się na kiju, matuś i robaczek maleńki jeść... Kostek pracować, a krasawica moja iść w służbę do niemca. O! jakżebym ja im chętnie dał niebo... I takem szedł precz do domu, a szedł i rozmyślał. Było kawał drogi, gdym dochodził do chaty, już było ciemno, w głowie jednak ciągle mi się kręciło niebo owo... Wszedłem do izby, wszyscy już spali — zatliłem ogarek świeczki, spojrzałem naokoło. Takie to było marne ojczulku, schorowane, biedne, że pomyślałem znów: żeby wam dać niebo!.. A czemuż nie, szepnęło mi coś do ucha, patrz tam na boku stoi topór, którym codziennie rąbiesz drzewo, tylko weź do ręki, poratujesz biedaków, wszyscy pójdą do nieba, tacy poczciwi i biedni pójdą, niezawodnie pójdą... krasawica będzie miała suknie z obłoków i gwiazd, wszyscy bez chleba się obejdą, a nędza, ten strach z wystającemi zębami i okiem w dół zapadłem tam miejsca niema. Postawiłem ogarek na stole i wziąłem topór do ręki, był ostry, wczoraj wytoczyłem go na kamieniu. Do ucha coś mi znów szeptało: Daj im niebo!.. Podszedłem naprzód do staruszka... jedno uderzenie, był w niebie... za drugiem poszła matka, trzeciem — Kostek, czwartem — krasawica, piątem — moje robactwo najmniejsze, uderzałem tak dobrze, że żadne z nich nie odetchnęło nawet, wszyscy zaraz poszli do nieba, tylko robaczek maleńki oczki otworzył, łypnął niemi kilka razy, na mnie spojrzał, uśmiechnął się i skonał... Uklęknąłem przy nich, począłem się modlić — potem zbiegli się, ludzie, związali mnie, wsadzili do turmy, ot i skazali na katorgę...

Całego tego opowiadania słuchaliśmy wszyscy ze zgrozą najwyższą. Przed sobą mieliśmy oryginalny okaz zbrodniarza, którego historya łzę wyciskała...

— A czemużeś sam za nimi do nieba nie poszedł — spytał jeden z towarzyszów.

— Boby mnie tam nie puścili — odparł Maksym. Oni to co innego, taka już sprawiedliwość boża. Dla mnie tylko obiecane piekło, a że i tu je mam na ziemi, to i żyję. Oni nic złego nie zrobili, ja ich zamordowałem...

— Psychopata!.. — szepnął jeden z kolegów.

— Kryminalista, łotr zwykły, łże, powtórzył inny...

M. Wołowski.

wę — do *Samarytanina* Trębacza. Tu motyw może mniej nowy, ale wykonany z całą finezyą i poczuciem legendy biblijnej, która pod cieplem dotknięciem wprawnej widać dłoni ożywiła się wielką, dla każdego zrozumiałą poezyą i dziwnie liryczny nastrój sprowadza. To nie zwyczajna ilustracya znanej fabuły, ale samodzielny poemat z barw, nacechowany subtelnym realizmem ciał i fizyognomij i romantyzmem tła. A dalej znów wielką sensacyę zrobił występ panny Bilińskiej. Laureatka ostatniego Salonu paryzkiego przysłała własny swój portret i odrazu zjednała sobie oklask, a co ważniejsza, zaznaczyła swą indywidualność. Zbrojna przekonywającym realizmem, rysy swoje oddała wiernie i bezpretensyonalnie wątpię, czy obecność jej *in corpore* więcejby ożywiła galeryę, niż ten wizerunek. Kto wie, czy do powodzenia nie przyczyniła się rekomendacya moralna zawarta w odwadze popisania się twarzą i figurą nieco zaniedbanemi, z wybitniejszem znamieniem siły niż urody i gracyi kobiecej. Siedzi autorka pod niewidzialnemi już staługami z wiązką pędzli w dłoni, oczywiście na chwilę oderwana od pracy, jednak swobodna i naturalna.

Niegłębokiem zrozumieniem bohatera i jego orszaku odznacza się większych rozmiarów *Chrystus wychodzący z apostołami po ostatniej wieczerzy* p. Lisiewicza. Wszystkich uposażył artysta urodą nadzwyczajną, ale czysto romansową, a Zbawicielowi dał oko i usta o tyle właściwe dla lirycznego tenora, o ile nieodpowiednie dla Boga. Pokrewnej treści *Zdjęcie z krzyża* p. Umierzyckiego cechuje także pewna banalność postaci klęczących nad Chrystusem i procesyą ku niemu zmierzających, jakkolwiek nie brak samoistnej kompozycyi. Wyraża się ona w dwóch momentach: ukrzyżowany leży na całunie rozesłanym na prędce i głowę ma wspartą na obalonej belce, zaś obok sterczy drugi krzyż, dźwigający jednego z umęczonych jednocześnie zbrodniarzów. Widać tylko dolną polowę ciała należycie ciążącą ku dołowi pod wpływem bezładu, z kolanami dobrze zgiętemi i mięśniami nie gorzej wyprężonymi. Wogóle zastanawia w tem płótnie szerszego kroju mięszanina motywów bardzo utartych z zupełnie świeżymi.

Savonarolę p. Łuskiny niemniej łatwo od *Śmierci Ellenai* możnaby pomówić o wzorowanie się na znanych i wsławionych nie stylach niestety — lecz pomysłach. Jest to jakby przeróbka *Skargi* Matejkowskiego, tylko zamiast dworu polskiego, słuchaczem jest tam dwór włoski, dziwnie błahy, blady, nieliczny i gapiowaty, w czem nie ustępuje wcale samemu mówcy, który również powstaje przeciw zbytkom.

Zaniechać trzeba dalszych zestawień, albowiem wystarczy tu całkiem domyślność czytelnika. Natomiast pominąć niepodobna p. Samuela Hirszenberga, który opracował tyle już razy wyzyskiwany temat żydów modlących się, ale z wielką dosadnością charakterystyki i urozmaiceniem typów, od bezmyślnych gadułów do ekstatycznego marzyciela, skupionych w *Jeszyboth* — szkole religijnej. Dużo rozleglejszej idei wyziera z tej wymownej grupy.

Dotknąwszy malarstwa więcej realistycznego i rodzajowego, napomknę o pysznym natłoku ożywionej szlachty, pochwyconej w chwili, gdy hałasuje i pije *Przed sejmikiem*. Ani klucza dla dokładnego zrozumienia, ani pobłażliwości dla pochwalenia tej kreacyi p. Borkowskiego nie potrzeba. Pociąga też miłą pstrocizną i wielkiem życiem orszak włościański, odprowadzający młodą parę *Od ślubu*. Wszyscy na koniach, z pochodniami na tle ciemnych sylwetek górskich. Moment to wybrany dla popisu — ale szczęśliwie.

P. Stasiaka sceny charakterystyczne: *Grajek szynkowy*, żebrzący u stołu, oraz *Szach i mat*, celują wyborną obserwacyą i prawdą, ale rażą monotonnością i pewną manierą upodobniania wszystkich fizyognomij. *Pierwsze lusterko* — woda rzeczułki, w której przegląda się z zadowoleniem i wywalonym językiem pastuszek otoczony stadem gęsi — pochwycił zręcznie z natury p. Tomkiewicz.

Ale — dłużej nie wolno mi dla szczupłości miejsca wdawać się w wyliczanie. Wspomnę tylko o *Cygance* p. Mańkowskiego, *Rozmowie górali* p. Wac. Szymanowskiego, *Dziewicy w kąpieli* Szyndlera, *Synu marnotrawnym* Bergmana. O reszcie zamilczeć muszę, choć z żalem, bo jest tam wiele produkcyj godnych wyróżnienia.

Czy kolekcya cała, jakkolwiek duża, daje dokładne wyobrażenie o malarstwie polskiem? Nie sądzę. Czy to wina niechęci artystów, czy zbyt małej zabiegliwości komitetu wystawy — dosyć, że napróżno szukasz na niej nazwisk i płócien, których na konkursie sztuki polskiej brakować nie powinno. Swoi czy nie swoi wiedzieliby coś i o nowszych w niej zwrotach, gdyby oglądali utwory Gierymskiego i Witkiewicza. Nie piszcie się na nich, jeśli kierunkowi nie sprzyjacie, ale on pomimo to jest potężny, nawskroś nowoczesny i wpływowy. To jedno. Powtóre, dla czegóż tak mało znalazło się dzieł tych mistrzów, co nie rozdarowywują swych klejnotów papieżowi, a więc łatwo na czas krótki mogliby je z rąk prywatnych odebrać. Dla czego tylko jedno, wprawdzie genialne, Brandta *Na tropie*, jedno nie całkiem okazowe Chełmońskiego — *Wnętrze kościoła wiejskiego*, nic więcej Horowitza, pomimo iż katalog zapowiadał aż osiem. Wreszcie wielu talentów popularnych, zarówno w krainie pędzla, jak i dłuta brak zupełnie, Żmurki, Heimana, Kostrzewskiego, Syrewicza, Kurzawy, Celińskiego — ani śladu.

W dziale budownictwa nie poskąpiono planów i projektów. Jest ich tu więcej niż gdziekindziej i kiedyindziej. Byłaby zasada przypuszczenia, że architektura polska ruchliwością dotrzymuje kroku siostrom swym w Apollinie.

Nie kuszę się na ogólną charakterystykę naszej sztuki. Wystawa krakowska przedstawia ją dosyć wielostronnie, ale nie dosyć systematycznie. Jednakże nie będzie chyba zbyt śmiałem twierdzenie, że w tem ona widzowi przyniosła, rysy znamienne w pewnem przybliżeniu dają się ująć — tak, ująć — ale nie zebrać w jedno. Najrozmaitsze skłonności i kierunki idą tutaj samopas, tak jak rozmaite są szkoły, w których artyści otrzymują wskazówki i przygotowanie, jak różne wzory, na których się doskonalą, jak upodobania, panujące w dzielnicach artystycznych Europy. Pomiędzy uczniami jednych i tych samych przewodników, np. Matejki i Gersona, zachodzi niewytłomaczona rozbieżność. Tych obałamuca jeszcze wciąż religijne malarstwo włochów, tamci zazdroszczą laurów Grotgerowi i Słowackiemu, owi polują na temata dziejowo-dramatyczne śladem Matejki, a najmniej może kapłanów ma sfera życia powszedniego, lub, jeśli kto chce, rzeczywistego. Piękno przyrody i piękno bytu realnego traktowane są po macoszemu — dlaczego? Bo do nich potrzeba mistrzowstwa w wykonaniu, długo ćwiczonej techniki i obserwacyi. My wciąż jeszcze oddychamy powietrzem mistyki i romantyzmu historycznego — tak samo, jak w literaturze i poezyi przed laty dwudziestu, a potroszę jeszcze i dzisiaj. W motywach fantastycznych kąpiemy się, idealnymi krztusimy. Może to i zbawi niejednego od krańcowego realizmu, a sztuce całej nadaje więcej przestworza i polotu, ale coż, kiedy rzadko kiedy wykonanie odpowiada rozmachowi idei, a co najgorsza, sama idea pojmowaną jest po staremu — naiwnie, i jak owe balony *captif* zawsze tym samym utartym szlakiem wzbija się w górę.

Cezary Jellenta.

Z FRANCYI.

Paryż, 1 października.

Nowe stowarzyszenie. — Ezoteryzm. — Jego sojusz z teoretycznym socyalizmem we Francyi. — Pogodzenie nauki spółczesnej ze staroindyjską. — Związek neo-budystów.

Utworzyło się niedawno w Paryżu stowarzyszenie pod nazwą *Izydy* (*l'Isis*). Zajmuje się ono w niewiernej Francyi propagandą budyzmu w formie „teozofizmu“ lub „ezoteryzmu.“ Zadaniem ezoteryzmu jest od tworzyć zatraconą syntezę wszechwiedzy dowieść jedności świata w jego źródle pierwotnem i celach ostatecznych; wyprowadzić ludzkość z denerwujących zwątpień i obudzić nadzieję wyjścia z anarchii politycznej, ekonomicznej i moralnej, którą przebywają dziś społeczeństwa europejskie...

Na czele stowarzyszenia stoi Dramard, jeden z redaktorów *Revue socialiste* i kolektywista z przekonań społecznych. Upowszechnienie ezoteryzmu, powiada on, posłuży nam istotnie do ujęcia w pewne formuły nieskrystalizowanych jeszcze pragnień, tkwiących w masach ludności; wzmocni nadto miłość ludzkości, wiarę w postęp, entuzyazmujące ludy różnych stref i ras. Socyalizm, mówi Dramard, który głosi panowanie sprawiedliwości i solidarności, jest naszym sojusznikiem. Sojusz ten zjawia się bardzo na czasie. Po usiłowaniach Saint-Simona w kierunku nowo-chrystyanizmu, po hierarchicznej drabinie Augusta Comte'a socyaliści zdążają dziś do uzupełnienia swej filozoficznej syntezy.

Wypada mi jednak dać kilka szczegółów informacyjnych, dotyczących owego neobuddyzmu, pod wpływem którego zawiązało się paryzkie stowarzyszenie, ochrzczone mianem tajemniczej Izys.

Wszelkie światło idzie ze Wschodu, europejscy też ezoteryści mniemają, że już w Indyach prastarych wytworzyła się nader głęboka naukowo-etyczno-metafizyczna synteza, na jaką nie zdobyły się dotąd wieki późniejsze i inne kraje, najmniej zaś klasyczność starożytna, która we względzie wiedzy była tylko plagiatem niezrozumiałego już Wschodu, samodzielnie zaś zrobiła coś jedynie w kierunku niedalekowidzącego empiryzmu lub czczej dyalektyki. Ezoteryści utrzymują nadto, że prastary Wschód przyczynił się bardzo do poznania zjawisk psycho-fizycznych i że współczesna nauka ścisła może wiele skorzystać, zapoznawszy się z przechowanymi odłamkami tej wiedzy. Głoszą też konieczność zbliżenia się nauki z ezoteryzmem dla wytworzenia rozleglejszej teoryi naukowej.

Zachowały się zresztą nie same tylko odłamki wiedzy — powiadają. W górach Tybetu przetrwał do dziś świątobliwy zakon indyjsko-buddyjskich mędrców, *mahatmas*, którzy znicz wiedzy starożytnej przechowali a nawet dalej ją rozwinęli, chociaż na umysłach ascetów niejedna rdza i pleśń w ciągu długich wieków osiadła. W bezpośrednią styczność z tymi mędrcami miała wejść niejaka pani Bławacka, amerykanizowana rosyanka podobno, która „inspiruje“ wychodzące w Paryżu pismo *Lotus*, oraz amerykański również pulkownik Olcott. Londyńskie towarzystwo badań psycho-fizycznych tak się temi odkryciami rozciekawiło, że wysłało niedawno osobną delegacyę do Indyj i Tybetu. Delegacya po powrocie ogłosiła nader obszerne sprawozdania, do źródła atoli owej wiedzy nie dotarła i dała nawet poznać, że pani Bławacka zręcznie nader wyprowadza w pole łatwowiernych... Bądź co bądź charakterystyczny jest kierunek, w którym zwraca się dziś busola myśli i dociekań w starej Europie.

Otóż z legend tych i odkryć, mniej lub więcej pewnych, staro-indyjskich zrodził się ruch napoły religijny, napoły filozofi-

czny i etyczno-socyalny, który rozgałęził się dziś dość szeroko i daleko po świecie, przyjmując nazwy: buddyzmu, teozofizmu, ezoteryzmu. Trzeba wiedzieć, że jest trzy stopnie tego naukowo-intuicyjnego poznania: *exoteryzm*, *ezoteryzm* i *hermetyzm*, przedstawiające stopień jego doskonałości, począwszy od symboliki zewnętrznej aż do wtajemniczenia, dostępnego tylko dla charakterów i umysłów wybranych i długiem ćwiczeniem do tego przygotowanych. Starzy ezoteryści indyjscy uważają za swego mistrza niejakiego Summangala, wielkiego kapłana z Irripady, przy jednej ze świątyń indyjskiego południa. Ma to być kościół, którego Watykan znajduje się na wyspie Ceylon, u szczytu góry Adama.

Wspomnieliśmy już o rozpowszechnieniu się ezoteryzmu w Europie i Ameryce. Pierwsze stowarzyszenie tego rodzaju założone zostało w r. 1875 w New-Yorku. Służyło ono pewien czas za centralne ognisko ruchu, przeniesiono je atoli następnie do Bombaju, obecnie zaś znajduje się w Adyar, koło Madras w Indyach. Zadaniem związku jest: dążyć do wytworzenia powszechnego braterstwa między ludźmi; rozbudzać zamiłowanie do studyów nad religiami, literaturą i naukami wschodniemi; dążyć do wykrycia praw natury i wzmożenia wewnętrznej potęgi człowieka.

Inicyatorem ruchu ezoterycznego w Anglii jest A. P. Guinett, b. dyrektor dziennika urzędowego Indyj angielskich. Założył on „London-Lodge," do której należeli znani badacze, Crookes i Wallace. W Stanach Zjednoczonych istnieje obecnie 15 sekcyj związków teozofistów. Między wybitniejszymi członkami wymieniają d-ra Connes, Indge i znanego wynalazcę Edisona. W Niemczech apostołami są: dr Hubb, Schleiden, Gebhard i znany pesymista-filozof Hartmann. We Francyi paryzki Salon księżnej de Pomar był, do czasu założenia Izydy, głównym ogniskiem nauk ezoterycznych. Obecnie pani de Pomar skłania się ku „ezoterycznmowi katolickiemu" — i taki bowiem istnieje...

W październiku 1886 r. nowy ten związek liczył 136 sekcyj, z których: 15 w Stanach Unii amerykańskiej, 4 w Anglii, 1 w Niemczech, 1 w Austryi, 1 na Korfu, 1 w Odessie, 1 w Hadze, 1 w Queenstown, na przylądku Dobrej Nadziei, 1 w Saint-Thomas, 1 w Brisbone w Australii, 7 na wyspie Ceylon i 1 w Paryżu.

Oto związek wszechświatowej iście federacyi.

Ruch ezoterystyczny może nie przeminąć bez korzyści, od syntezy jednak, do której dążą ci neo-buddyści krok tylko jeden do mistycyzmu, okrywającego się ascetyczną zasłoną lub dogmatycznego skostnienia. W stanach tych ludzkość nie jeden już wiek przebyła, następnie zaś nie jedno minęło stulecie, nim z tego pomrocznego letargu wybiła się na światło dzienne.

E. Przew.

BADANIA NAUKOWE.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

XVI.

Kwestyonaryusz Tow. psychologii fizyologicznej. — Wątpliwe jego owoce. — Hugo Sommer contra... Wundt. — Skrócone dzieje hypnotyzmu. — Nowa era ludzkości.

Po kilkotygodniowej przerwie wracam na stanowisko i, o dziwo, znajduję, że w tym krótkim przeciągu czasu zaszło aż kilka jeśli nie ważnych, to ciekawych dla filozofii wypadków. Widać nie wszędzie dary lata są darami danaów i człowieka skazują na częściowe męki i gnuśne próżniactwo.

Bo oto weź ze mną do ręki kwestyonaryusz, rozesłany przez znane „Towarzystwo psychologii fizyologicznej," liczące w gronie swem najprzedniejszych uczonych i myślicieli Francyi, Włoch i Anglii. Ułożony jest nader szczegółowo i świadczy o pracy wielkiej i większym jeszcze rozmyśle redaktorów. Ale do czego dąży? Do zebrania danych psychologicznych dla poparcia teoryi dziedziczności duchowej. Ludzie światli a nieobojętni na postępy nauki doświadczalnej, proszeni są o nadesłanie charakterystyki kilku najbliższych osób, wedle szematów, zawierających szereg pytań z dodatkiem objaśnienia, o ile rysy pojedyncze widoczne były u rodziców, dalszych przodków, a także krewniaków w liniach bocznych, oraz o ile powtarzają się u dzieci, jeśli, rozumie się, oryginał sylwetki dostąpił szczęścia posiadania ich.

Program jest wyczerpujący. Znaleźć w nim można cechy zewnętrzne, budowę ciała, wagę, rozmiary głowy, kształt czoła, kolor włosów, oczów; następnie właściwości fizyologiczne, stopień rozwoju zmysłów wraz z odcieniami osobistymi lub częściowem upośledzeniem, jak daltonizm; rodzaj spożywanych pospolicie pokarmów i napojów; szczególne upodobanie do niektórych z nich. Zapytują, jaki jest apetyt, sen, siła fizyczna itp. Duży nacisk kładą na oznaki chorobliwe, a zwłaszcza dotyczące nerwów, jak hipokondrya, przebyte w dzieciństwie paroksyzmy epilepsyi i wszelkie inne stany patologiczne: jak krzywizna nóg, jąkanie się, garb, ślepota, zez, niemota lub głuchota itd. Z kolei idzie portret moralny. Jaki temperament, równy czy gwałtowny, smutny czy wesoły, wola silna czy słaba, co przeważa: samolubstwo czy szlachetność, skromność czy próżność, brutalność czy ludzkość, niepodległość sądów czy pokora i posłuszeństwo zdaniu innych, bojaźliwość i tchórzostwo czy pewność siebie i odwaga, skąpstwo czy hojność, ruchliwość ciała czy lenistwo; jaka wrażliwość na podniety miłosne; szczególne gusta do pewnych sztuk pięknych lub nauk i wiele tym podobnych znamion wyróżniających.

Łatwo domyślić się, że i ustrój intelektualny nie mógł zostać pominiętym. Rozmaici ludzie rozmaite miewają zdolności i nie jednakową okazują bystrość w składowych procesach myślenia. Chodzi tedy o wskazówkę, jaką jest pamięć, słabą czy lokalną i czy nie objawia się najdodatniej w jakimś specyalnym kierunku, na rzecz pewnego tylko szeregu pojęć, jak cyfry, daty, imiona, nazwiska, wyrazy twarzy, miejsca, rymy, proza, formy, figury geometryczne itd. Pożądaną jest przybliżona skala bujności wyobraźni, stopień przenikliwości, przytomności, daru uogólniania, chwytania szczegółów danego zjawiska lub faktu, daru wymowy; wreszcie sposób pracowania, czas zajęciom poświęcany, porządek ich oraz miara wczesności w rozwoju duchowym.

Rzecz prosta, iż koniecznem uzupełnieniem danych, czysto indywidualnych, muszą być kategorye ogólniejsze, jak płeć, wiek, miejsce urodzenia, zamieszkania, stan cywilny, zawód, wychowanie, religia, stopień i rodzaj wykształcenia, pochodzenie społeczne jednostki opisywanej i jej rodziców, wreszcie położenie majątkowe.

Ażeby na tak subtelne, częstokroć odpowiedzieć pytania, potrzeba mieć znaczne wyrobienie spostrzegawcze i dojrzałość moralną. Inaczej charakterystyka wypadnie niezgodnie z prawdą; czuła matka z pewnością o synku ryżym napisze, że ma włosy złote, swiekra o swym zięciu, że z nim dla nadmiernej popędliwości jego, wytrzymać nie może; sentymentalny kochanek bogdance swej oczy szare przemieni na szafirowe, a ona jemu — nos garbaty na grecki. Jeśli obliczyć, jak mały jest w społeczeństwie procent ludzi rzetelnie bezstronnych i przysposobionych psychologicznie do czynienia obserwacyj, wypadnie niewesoły wniosek, iż badacze, zbierający tą drogą materyał empiryczny, będą rozmyślnie czy bezwiednie wprowadzani w błąd przez setki półgłówków, próżnych kobiet, zarozumiałych poetów, tym bowiem nie starczy odwagi na podanie swej imaginacyi za mierną, a fantazyi za jałową. Kwestyonaryusz zwraca się jedynie do inteligencyi wyższej — ale i to przezorność za mała. Może tak sceptycznie nastraja nasze społeczeństwo, słabo odróżniające cel poważny od zabawy — ale zdaje mi się, że „Towarzystwo psychologii fizyologicznej" zapukać powinno było tylko do właścicieli imion głośnych i czczonych w świecie nauki literatury, sztuki, zarówno jak w dziedzinach praktycznych, zostających na łasce zdobyczy teoryi.

Bądź co bądź wynik zapowiada się ciekawie. Ze strony zwolenników teoryi dziedziczności jest to wielkie dla wrogiego obozu ustępstwo. Zrzekają się bowiem zysków wiary, już przez pół świata przyjętej i poczynają uzasadniać ją na nowo, sposobem grubym, rzec można, ordynaryjnym. Jest to doświadczalność posunięta bardzo daleko, tak daleko, że spada z wyżyn dowodzenia naukowego i brata się z logiką prostaczą, żądną namacalności tam, gdzie jej być nie może. Słyszę już, jak sprytni pacholkowie obskurantyzmu wołają z tryumfem: „A to kiepsko z tą waszą dziedzicznością, jeśli ją musicie aż statystyką podpierać!" O bo to licho nie śpi i umie się we znaki dać.

Uczuł to niedawno na sobie filozof, starannie unikający zatargów z nimi i wyższy nad miałkie spory o przekonania — Wundt. Czy spodziewiałbyś się kiedyś, że *Etyka* jego tak nasiąknięta idealizmem, nieprzyjazna szkołom utylitarnym, wszelkiemu samolubstwu, a nawet tylko indywidualnej wybujałości, ściągnie na się gromy i zarzuty materyalizmu, niewiary, bezbożnej propagandy i tym podobnych straszydeł? Otwierasz szeroko oczy — i doprawdy jest czego — Hugo Sommer *) napadł na znakomitego profesora w sposób gminny, brutalny, a przedewszystkiem niedorzeczny i takiej wrzawy narobił — stary to już przywilej osłów uprawnionych z lwami — że zmusił go aż do ogłoszenia repliki w oddzielnej książeczce **). Dostało się też niewczesnemu komentatorowi — oj dostało! Napadnięty w tem samem czasopiśmie (*Preussische Jahrbücher*), które umieściło zaczepkę, poprzednio jeszcze wykazał fałsz cytat rozmyślny, teraz zaś wziął się do biedaka na dobre i zdaje się na długo odjął mu ochotę szerzenia oszczerstw (!) i przekręcania słów.

I co za rozczarowanie! Do niedawna dumni byliśmy z tego, że tylko u nas krytycy „ideałów pozytywnych" potrafią walczyć infamią i z pomiędzy wierszy wyciągać zdania, o których autor nie śnił; że my tylko mamy odwagę, opancerzywszy się ulicznym antisemityzmem, rzucać ideologów i oszustów giełdowych do jednego dołu — a tymczasem znaleźliśmy w szlachetnem rzemiośle współzawodników. Jaka szkoda!

Dla równowagi muszę się jednak z tobą podzielić wrażeniem przyjemnem, jakiego doznałem, słysząc w pogadance lekkiej a gruntownej bardzo dobrego specyalisty, co za koleje przeszedł wielki uzurpator uwagi psychologów dzisiejszych, zwany hypnotyzmem, zanim zdobył sobie prawo obywatelstwa wśród ludzi nauki. Żmudna, bo pełną przygód, porażek i zawodów była ta droga, idąca aż od czasów Mesmera. Mówca, który ją barwnie odmalował, słusznie uczynił spostrzeżenie, że właściwie początku należałoby szukać w sektach kapłańskich ludów starożytnych, gdzie znajomość

---

*) O autorze tym *Prawda* pisała parę lat temu w artykule „Pesymizm i etyka," gdzie obok jego zasługi podważania hartmanizmu wykazała i śmieszną jej pobudkę — prawowierność.

**) *Zur Moral der lit rarischen Kritik.*

wielu dziwnych praw natury ukrywano zazdrośnie przed oczami gawiedzi, nie chcąc pozbawiać się dobrowolnie powagi mistycznej i jej dochodów. Cuda owe przyodziane w formę pół-religijną, pół-czarodziejską, już dla tego samego budziły w następstwie obawę szarlataneryi i z trudnością znajdowały przystęp do umysłów niełatwowiernych — a wszystko krupiło się na śmiałkach, którzy próbowali go ułatwić. We Francyi staczano o niego zażarte walki. Korporacye naukowe, jeśli mię pamięć nie myli, i Akademia paryska, wyznaczały osobne komisye, złożone z ludzi nieprzyjaznych nawet magnetyzerom, dla zbadania prawdziwości pokazywanych dziwów i... przekonały się, że ci mieli słuszność. Po takich próbach ciężkich zaczął się zwrot ku lepszemu, a gdy w dodatku znienawidzoną nazwę magnetyzmu, trącącą zawsze magią i blagą, zmieniono na „hypnotyzm“ — lekarzy i psychologów opanowywa istny szał i dawny kopciuszek nauki awansuje na jej ulubieńca. Dziś w szeregach jego wielbicieli figurują tacy jak Binet, Beanis, Mariller, Bernheim, Bergson, Liébault, Charcot, Heidenhain i wielu innych niemniej poważnych i cenionych psycho-fizyologów. Nastała dla hypnotyzmu nowa era, w której o pomoc jego ubiega się medycyna cała, osobliwie neuropatya i psychiatrya, a w ostatniej chwili nie gardzi nią nawet pedagogika.

To kontury najogólniejsze. We wspomnianej pogadance wypełniły się one faktami i datami i złożyły na dokładny, choć łatwo pochwytny obraz rozwoju nowej gałęzi dociekań. Lecz któż jest jego twórcą — pytasz zapewne — i gdzie go pokazywano? Nigdybyś nie zgadł: 1) Julian Ochorowicz, 2) w Zakopanem, w kasynie Towarzystwa tatrzańskiego, pewnego słotnego wieczoru, kiedy ludziom odeszła ochota do uciechy; niespodzianie znaleźli miłą rozrywkę, słuchając zręcznego i dowcipnego gawędziarza.

Nie myśl jednak, by na tem kończyły się interesujące zdarzenia, zaszłe w okresie naszej rozłąki. Oto narodziło się kilka nowych teoryj, które chyba tym razem zupełnie odrestaurują świat, wymiotą z niego wszelkie cierpienia i choroby i na wieki odbiorą kredyt pesymizmowi.

Jedna z nich głosi, że wszelka niemoc jest sprawką imaginacyi i byle podziałać na nią umiejętnie hypnotyzmem, wnet ucieknie. Nie będzie tym sposobem paraliżów, reumatyzmów, konwulsyi, obłędów i szaleństw. Sam twórca teoryi podobno przeszedł Chrystusa w uzdrawianiu dotkniętych niemocą ludzi i pojedynczych ich członków.

Druga z „aplombem“ twierdzi, że cała sztuka lekarska jest jednem wielkiem omamieniem. W naturze chorób specyficznych niema. Są tylko stany porażenia nerwowego, ogólne lub miejscowe i niechaj reszta narządów zdrowych weźmie się do reagowania na krnąbrnego swego towarzysza — niebawem przywróci mu pierwotną siłę. A cóż dopiero, jeśli drugi osobnik będzie nań oddziaływać, dajmy na to, zapomocą przykładania dłoni? Wówczas skutek musi być niezawodnym. Toż dr. Liébault, zdaje mi się, uzdrowił w podobny sposób aż 35 dzieci i można mieć pewność, że reakcya osoby życzliwej i wytrwałej niewątpliwie w 90 wypadkach na 100 przyniesie znakomitą ulgę zbolałemu.

Trzecia wreszcie powiada: Nie obawiaj się, żeby doszło do nadużyć ze strony hypnotyzerów, do czynów przeciwnych prawu i moralności. Jakkolwiek potęga woli usypiającego nad uśpionym jest ogromną, to jednak wszystkie usiłowania, znaglające do postępków karygodnych lub bezwstydnych, rozbiją jak o mur, o jedną szczególnej mocy zaporę. Medium, gdy poddając się rozkazom zewnętrznym, zapada w odrętwienie smonambuliczne, chowa na dnie duszy swej pewną odporność, pewną utajoną świadomość, iż tylko dla doświadczeń pozbawionem zostało świadomości i w razie chęci przekroczenia tej granicy przez swojego pana, stawi opór niepokonany.

Tutaj już przebrała się miarka twej cierpliwości, zachwycony i rozpromieniony wołasz: Na Boga, pokażcież mi tego Newtona dziewiętnastego wieku! Ponieważ słyszałeś o mnóstwie przykładów zniewolenia medyów do przestępstw i przekroczeń rozmaitych i nawet wiesz, że sądy postanowiły wejrzeć bliżej w gospodarkę hypnotyzerów niepowołanych — zapytujesz powtóre: gdzie wyśpiewano wspaniałe te doktryny? Cóż — nie domyślasz się?

1) Dr. Julian Ochorowicz, 2) w Zakopanem w kasynie Towarzystwa tatrzańskiego itd., jak wyżej.

Robon Dion.

HISTORYA.

Ch. Seignobos. *Historya cywilizacyi* z 200 drzeworytami w tekście. Przełożył Adolf Dygasiński. Warszawa, nakład Paprockiego. Zeszyt I, str. 160.

Dalecy jeszcze jesteśmy od głębszego pojmowania nauki historyi. Podręczniki nasze, zarówno dotyczące dziejów powszechnych, jak polskich, przepełnia balast wojen, szczegółów biograficznych i dat; wypychają je rupiecie i wióry, które obciążają pamięć, lecz żadnego nie dają wyobrażenia o pracy człowieka na różnych polach, o rozwoju ludzkości. „Nie wiem — pisał z wyrzutem publicysta zeszłego stulecia — kto pierwszy wynalazł kluski greczane gotować ze słoniną, które bardzo lubię, a o tem wiem, że Tamerlanes wojował z Bajazetem, a Aleksander W. z Daryuszem;“ o owych figurycznie pojmowanych kluskach mało nas uczą i dzisiaj. Wykształceńsi dużo się mogą dowiedzieć z Buckle'a, Drapera, Morgana; dla młodzieży wyłożonych dostępnie dziejów cywilizacyi nie mieliśmy dotychczas wcale. Nawet Korzon, lubo w wykładzie historyi starożytnej zrobił krok naprzód, nie chciał zrezygnować z dynastyi egipskich na korzyść *klusek*.

Historya cywilizacyi Seignobos'a, której początek w przekładzie polskim nakładem p. Paprockiego prasę opuścił, dotkliwą lukę niewątpliwie zapełni. Jestto praca popularna, rzec można elementarna, lecz ścisła, bo na najnowszych śledzeniach naukowych oparta. Ogłoszony obecnie zeszyt obejmuje czasy przedhistoryczne (epoki: kamienia łupanego, gładzonego, bronzu i żelaza), cywilizacyę egipcyan, asyryjczyków i babilończyków, aryów indyjskich, persów, fenicyan, żydów i greków, wszystko na podstawie takich w nauce powag, jak Lubbock, Evans, Lebon, Taine, Schliemann, Curtius, Maks Müller, Quatrefages, Topinard itp. Po wykładzie rzeczy dogmatycznym zaznacza autor wątpliwości i fakta stwierdzone, przedstawia wnioski i rekomenduje kwestye dodatkowe, po których rozwiązanie odsyła do książek. Na czele każdego rozdziału wskazuje źródła. Tekst dzieła zdobi mnóstwo starannie wykonanych drzeworytów, które wykładowi przychodzą w pomoc.

P. Dygasiński z widocznem zamiłowaniem przyswajał dzieło francuza: dbał o jasność wysłowienia i czystość języka. Nie zgadzamy się tylko na przekład wyrazu *tumulus* przez kurhan, ostatni bowiem nie ma wewnętrzu izby. *Parsk* mazowiecki, chociaż w innym budowany celu, bardziej przypomina *tumulus*, niż kurhan. Zdaniem też naszem wersety z biblii wypadałoby podawać nie we własnym przekładzie, lecz z Wujka. „Weźcie tę księgę — pisze p. Dygasiński (str. 95) — ażeby stanowiła świadectwo przeciwko tobie, Izraelu, albowiem wiadomo mi jest, że masz w sobie buntowniczego ducha i twardą głowę. Za życia mego nieustannie powstawałeś przeciw Jehowie, cóż dopiero po mojej śmierci!“ Wujek wyraził to mocniej: „Weźmijcie księgi zakonu tego i włóżcie je przy stronie do skrzyni przymierza Pana, Boga waszego, aby tam były przeciwko tobie na świadectwo. Albowiem ja znam upór twój i kark twój twardy; oto, póki ja jeszcze dziś żyję z wami, jesteście odpornymi Panu, jakoż daleko więcej po śmierci mojej?“ I cytata jest mylna: zamiast *Deutoron.* XXX,27, powinno być: XXXI,66,27. Werset z księgi *Exodus* (str. 92) od przekładu Wujkowskiego nawet pod względem myśli różni się znacznie.

Sm.

W SPRAWIE JĘZYKA
międzynarodowego *).

I.

Wspaniała idea międzynarodowego języka, stanowiąca jedno z najśmielszych marzeń ludzkości, spotykała, a po części dotąd jeszcze spotyka dwie ważne przeszkody: jedną, że tak powiem, wewnętrzną, drugą—zewnętrzą. Pierwsza polega na olbrzymiej trudności stworzenia języka, i to łatwego dla wszystkich zarówno ludów a równocześnie odpowiadającego najrozmaiciej ukształtowanym ich mowom. Język — powiadają — jest to utwór organiczny; samorodnie kształci się, niewidocznie rozwija, nosi na sobie zawsze piętno tego narodu, który go wydał. Któż ośmieli się zajrzeć do tajemniczej pracowni ducha narodowego, gdzie przez całe wieki w niezbadany sposób tworzą się artystyczne kształty mowy ludzkiej? Kto odważy się naśladować naturę w tej tytanicznej pracy? Jak różnodźwięczne w różnych językach nazwy każdego pojęcia zastąpić jedną? Jak stworzyć potrzebną ilość kombinacyj dźwięków, i to kombinacyj naturalnych, łatwo wymawianych i nie zgubić się przytem w chaosie, owszem sprowadzić go do minimum wygodnych dla pamięci każdego narodu źródłosłowów? Jak dać prawidła dla tworzenia wyrazów, prawidła, któreby nie raziły swoją cudacznością i dawały się łatwo używać? Jak różnokształtną składnię i budowę gramatyczną przeróżnych języków ociosać tak, aby otrzymać jedną? Jak, nakoniec, tchnąć życie w taki sztuczny fabrykat, sprawić, aby przy całej swojej martwości i monotonii mógł on wyrażać żywą myśl ludzką, która tak barwnie skrzy się, tak melodyjnie gra w mowie naturalnej?!

To jedna trudność; drugiej, zewnętrznej, także lekceważyć nie należy. Bo przypuśćmy, że fabrykat udał się. Jak przezwyciężyć ludzką obojętność, która odwraca się od „dalekiego“ ideału? Jak tym olbrzymim ludzkim masom, w których każda indywidualna fala prze w innym kierunku, innej hołduje namiętności, narzucić jedno i to samo? I to wówczas, gdy tem czemś, tem jednem i tem samem jest sztuczny wyrób jednego człowieczka? Więc wszyscy po mowę mają przyjść do niego?! Więc ma istnieć inny jeszcze język międzynarodowy prócz języka Kruppa, który ma swój styl ognisty, swoje słowa dobitne, który tak pysznie trafia do serca?!...

Te dwie trudności w ostatnich czasach zaczął jednak zwyciężać geniusz historyi, który prowadzi zawsze ludzkość do celu jej wspaniałych przeznaczeń mimo wszelkie przeszkody. Schleyer wynalazł język powszechny; przyjęli go niektórzy uczeni a z nimi 200,000 ludzi.

Tymczasem w Warszawie znalazł się współzawodnik: dr Esperanto wystąpił z nowym „Językiem międzynarodowym“, nawołując publiczność do głosowania za nim.“ „Nadzieja to płonna — zauważa *Prawda*—ogół wezwany do głosowania zawsze oświadczy się za tym językiem, który ma za sobą większość.“ Bezwarun-

---

*) Ze względu na ważność sprawy dajemy miejsce temu artykułowi, który wiele jej punktów umiejętnie rozjaśnia. *Red.*

kowo *Prawda* występuje w interesie swoich czytelników, radząc im uczyć się języka, który ma już „teraźniejszość.“ Z drugiej strony nie chce ona popierać szkodliwego rozdwojenia opinii.

Wydaje nam się atoli, że w danym razie *Prawda*, nie obciążając zbyt swojego sumienia, śmiało może poprzeć d-ra Esperanto, nawołującego do głosowania za jego pomysłem — a to z następujących powodów. Sprawa języka międzynarodowego nie jest jeszcze rozstrzygniętą i rozstrzygniętą nie będzie nawet w najbliższej przyszłości; volapük dotąd jeszcze przechodzi erę kształcenia się, daleką od kresu; nawet jego wyznawcy wytykają w nim znaczne błędy; 200,000 zwolenników to jeszcze nie cały świat; a wreszcie uczenie się języka Schleyera nie wyklucza bynajmniej głosowania za d-rem Esperanto — bez względu na to, czy nadzieje tego ostatniego okażą się złudzeniem, czy też nie.

Ale czemu popieramy rozdwojenie opinii, czemu, mając volapük, radzimy głosować za d-rem Esperanto? Dlatego, że jego język jest lepszym, jak to okażemy niżej. Gdyby zaś kto zarzucił, że jutro lub po jutrze zjawi się drugi, trzeci i dziesiąty jeszcze lepszy i że wówczas powstanie nowy Babel — Babel międzynarodowych języków — odpowiemy na to: zawsze jeden z nich będzie najlepszym i jako taki będzie wymagał najmniejszej pracy. Jeżeli ktoś na język Schleyera zużył 3 miesiące czasu, to może *kilka dni* poświęcić językowi d-ra Esperanto (a takim jest tu stanowczo stosunek czasu). Nowy zaś lepszy wymagać chyba będzie paru godzin. Trudno przypuścić, aby tak prędko urodził się jego wynalazca.

Ale przejdźmy do krytycznego porównania „volapüku“ z „lingva internacia.“

Wytwór Schleyera nosi na sobie wszystkie cechy ciężkiego, acz głębokiego umysłu niemieckiego. Słownikowa część przedstawia nader wielkie trudności dla każdego europejczyka; tworząc wyrazy, autor nie trzymał się jakiegokolwiek ogólnego prawa; przedstawiając na rozmaitych zasadach dźwięki źródłosłowów angielskich, pozmieniał słowa do niepoznania. To też nawet człowiek, posiadający kilka języków europejskich, nie zrozumie nic z volapüku bez uprzedniego przygotowania się. Już samo słowo volapük, przekręcone z angielskiego (worldspeak) nie zdradza tajemnicy swego pochodzenia nawet przed anglikiem. Schleyer tak daleko zapędził się w tej przeróbce, że zmienił nawet wyrazy z natury swojej międzynarodowe (minister — dünal; meteorologia — stomav; matematyka — gletav; imperator — limep; Indye— Nidän). Podczas gdy nazwy początkowych liczb we wszystkich europejskich językach brzmią podobnie, volapük każe uczyć się nowych, łatwych do pomieszania słów: bal, tel. kil itd. Dodajmy jeszcze, że mnóstwo słów różni się tutaj tylko jedną literą: fad, fag, fal, fel, fällo, falo, fom, föm itd. bez końca. Doprawdy, czytając ten słownik, podziwiasz owych 200,000 entuzyastów, którzy podobno nauczyli się volapüku. Wogóle w słowniku Schleyera wszystko jest cudaczne, obce, niemiłe, nienaturalne; odpowiedniość między dźwiękami a pojęciami całkowicie zanika. Kaprys twórcy bez litości zabija naturę. Maskarada angielskich źródłosłowów przeprowadzona tak radykalnie, że w tem przebraniu Schleyerowskiem żaden anglik ich nie poznaje.

Do tego przyczyniła się wiele troska o chińczyków; ażeby uczynić język dostępnym i dla nich, autor unikał, o ile mógł, litery r. O ile mógł..., bo nie udało mu się to w zupełności. Natomiast o słowianach Sch. zbyt zapominał. Obok litery e wprowadził nader obficie ä i ö, których rozróżnianie dla uszu i narządów głosowych słowian przedstawia niemałe trudności. Tymczasem głoski owe jak na złość nader wielkie mają znaczenie przy odróżnianiu gramatycznych przystawek i końcówek w Volapüku; niemiec zawsze daleko patrzy, a zblizka nie widzi. (Imp. äfinol, perf. efinol, imiesłów kończy się na öl, wyrazy abstrakcyjne na äl) *). Mówiąc o fonetyce volapüku, zwrócimy uwagę na drugi kapitalny błąd Schleyera. Trudne do rozróżniania w zakończeniach dźwięki b i p, d i t. g i k używane są często, co w rozmowie prowadzi do dwuznaczności lub niezrozumienia się. Tak np. käd (kasa), ked (rząd), köt (ostrze), läd (dama), lät (naostatek), led (różowy kolor), let (pozwolenie) itp.

Jeżeli z kolei przejdziemy do gramatycznej budowy volapüku, to na pierwszy rzut oka uderzy nas znakomita symetrya języka, jego matematyczna prawidłowość; wszystko tu w ładzie, uporządkowane, ustawione. Znać, że tu ludzka świadomość silnie pracowała, że w kleszczach logiki ścisnęła formy gramatyczne. że stara się pozostawić tylko to, co było koniecznem, niezbędnem. A jednak nie udało się to jej całkowicie: pozostało sporo niepotrzebnego i z tem co pozostało, dość trudno dać sobie radę.

Zobaczmy. Dwa futura, I i II, w języku międzynarodowym — to zbytek; wprowadzanie prócz osób zwykłych „osoby delikatnej“ (franc. vous, niemieckie sie) — to elegancya; trzy czasy przeszłe (perf, imferf, plusquamperf.) — to hojność; nakoniec niepojęty dla wielu widzów dativus ethicus — to wspaniałomyślność!! Dla każdego z wyrazów: wasz, mój, twój itd. istnienie paru form zdradza brak ekonomii. Nakoniec, o nieba! mamy nawet wyjątki i konstrukcye (np. słowa kończący się na s, c, x, z, nie przyjmują w liczbie mnogiej jak wszystkie inne zakończenia s); przymiotniki deklinują się lub nie, zależnie od swego położenia.

O trudności przyswojenia sobie gramatyki volapüku łatwo sądzić można z takich form gramatycznych jak: palöfob-li-la'; pavaladöböd (niech mnie oczekują!); przyczem zauważymy, że często zmiana jednej samogłoski lub spółgłoski na inną może zniszczyć cały sens gramatyczny wyrazu. Jakkolwiek dobrze nauczymy się końcówek: ob, ol, om, of, os, on, obs, ols itd. (ja, ty, on... w konjugacyi), niepodobna, by nam się język nie zaplątał w rozmowie, byśmy jednej spółgłoski nie zmienili na drugą; słuchacz zaś winien posiadać w uszach retortę do analizowania składowych części gramatycznych końcówek: np. pa-löf-on-ok-li (po=passiv. löf=kochać, on = ono, ok= zaimek zwrotny); li=zapytanie (czy) tj. czy ono jest sobie drogiem (kochanem). Nareszcie i w pisaniu niepodobna się nie zmylić (częste zecerskie pomyłki w końcówkach gramatycznych volapüku są nader wymowne).

Ażeby raz skończyć z gramatyką dodamy, że sufiksy i prefiksy w języku Schleyera po większej części są samowolne; tak tedy pamięć mało doznaje ulgi, duch języków naturalnych nie zostaje należycie uwzględniony, a osławiona logika sztucznego języka Schleyera szwankuje mocno (nebel — dolina; pozeudel — południe; podczas gdy końcówka el po większej części oznacza ludzi z pewnemi właściwościami, fasedel—dowcipniś, dünel—sługa, globel — grubianin, teladel — krawiec itd. Z drugiej strony: gospodarz—linkip, nieprzyjaciel— telul; minister—dünal itd. Końcówka ik jest charakterystyczną dla przymiotników, a obok tego czytamy; komik—bitwa. Co do prefiksów, to np. pa, zrobiono z passivum, razi wprost swoją sztucznością: löfol—kocham; pa-löfol—jestem kochany. W jakimż języku oznacza się tak stronę bierną?!

Nakoniec ów volapük, rekomendowany do śpiewu przez swoich zwolenników, nam przynajmniej skutkiem swojej budowy spółgłoskowej, wydaje się nieestetycznym, wprost barbarzyńskim, o czem łatwo się przekonać, przeczytawszy następujący ustęp: Vedeliki bodi obsik givol obsè tudel e ofogivol obse sins obsik as fogivobs bligelsè obsik itd.

(D. n.).

L. B.

*) Zdaje się nawet, że Schleyer zbytecznie troszczył się o chińczyków; potrafią oni wymówić r, tylko nie czysto, podobnie jak rasa niemiecka.

WYNALAZKI.

Zylonit. Przemysł pozyskuje obecnie nowy produkt, którego główną zasadę stanowi w tak zwanym *zylonicie papier pergaminowy*, tak dziś w handlu rozpowszechniony.

Papier pergaminowy otrzymujemy traktując papier biały, zwykły. nici lub bawełnę kwasem siarczanym. Z tak pozyskanej masy, wydzielonym następnie zostaje kwas siarczany przez często powtarzane zmywanie, poczem masę tę maceruje się w spirytusie kamforowym. Po ukończeniu tej operacyi, zylonit jest gotowym; można wtedy mu nadawać wszelakie postacie, odlewać go w formy, prasować na blaszki jak najcieńsze, wytwarzać zeń ciało prawie przezroczyste, nadawać mu najświetniejsze barwy. Jest on giętszym a zarazem mniej kruchym od rogu i kości słoniowej.

Odpowiednio do sposobu wytwarzania, zylonit przyjmuje pozór rogu. kości słoniowej. bursztynu, emalii a nawet szkła. Obecnie zastosowano go do oszklania okien kościelnych, z wybornym skutkiem, gdyż jak wspomnieliśmy wyżej, szkło zylonitowe przyjmuje z łatwością barwy najpiękniejsze.

Nowy kamień sztuczny. Dziennik angielski *The-Iron-Morger*, podaje niektóre szczegóły, dotyczące wyrobu nowego kamienia sztucznego do brukowania dróg bitych. któremu nadano nazwę *kamienia granito-metalowego*.

Nowy ten produkt pomysłu H. Bryant'a składa się z mieszaniny żuzli pieców wysokich. granitu odpowiednio przygotowanego i cementu portlandskiego.

Wszystkie te składniki w połączeniu z roztworem alkalicznym, tworzą masę w postaci ciasta, które rozprowadza się na warstwie podkładowej i wyrównywa jego powierzchnię zwykłymi walcami.

Masa ta z łatwością daje się rozprowadzać i utrwala szybko, po upływie bowiem dwunastu godzin od zabrukowania drogi tym kamieniem, ta może już służyć do komunikacyi dla przechodniów, a nawet znosić ciężar wozów ładunkowych. Bruku takiego nie niszczy ani ogień ani woda, a powierzchnia jego, co ważną stanowi zaletę. nie jest ślizką z powodu mnóstwa cząstek żuzlowych w skład jej wchodzących. Z kamieniem granito-metalowym odbywano doświadczenia w Strand, to jest na drodze najwięcej uczęszczanej, wiodącej do Londynu. Powiodły się one najzupełniej, z otrzymanych też rezultatów wnosić należy, że bruk z tego kamienia będzie i trwałym i ekonomicznym.

Wiele towarzystw dróg żelaznych z wynalazku H. Bryant'a dziś już korzystać zaczyna.

Lutowanie stali i żelaza stalą. Paweł Herzog z Peterswaldau wynalazł proszek ułatwiający lutowanie żelaza lub stali stalą.

Do wytworzenia tego proszku potrzeba użyć 500 gramów boraksu, 70 gramów prusyanu potażu i 35 gramów opiłek żelaznych rdzą niepokrytych. Mieszaninę tę proszkuje się w moździerzu a następnie wrzuca ją do tygla żelaznego, dolewając do niego wody aż do chwili pozyskania gęstej papki. Gdy to nastąpi, stawia się tygiel na ognisku i porusza nieustannie mieszaninę pręcikiem żelaznym, przy zachowaniu tej ostrożności, aby do tygla nie dosięgał płomień. Otrzymuje się wtedy materyę podobną do pumeksu, przedstawiającą wszakże odcienia zielone i szare: po ostudzeniu jej zupełnem i sproszkowaniu, produkt tą drogą pozyskany może bezzwłocznie służyć do użytku. Sztaby stalowe 65 milimetrów średnicy mające, lutowano tym proszkiem doskonale.

Lampa elektryczna dla górników. W Anglii w kopalniach węgla, zastosowano elektryczność do oświetlenia szybów. W tym celu posługuje lampa zasilana przez stos z chlorku srebra, złożony z trzech elementów. Stos zamkniętym jest w pudle metalowem 17 centymetrów długości, 8,75 cntm. szerokości i 7,5 centm. głębokości mającem.

Lampa zaopatrzona w reflektor przytwierdzony zewnątrz pudła, daje światło wyrównywające blaskowi trzech świec jarzących, w ciągu dziewięciu godzin. Drugi rodzaj tego oświetlenia w stopniu słabszym daje lampa, której światło dorównywa blaskowi dwóch świec w ciągu pięciu godzin, trzeci wreszcie przyrząd elektryczny, pośredni między powyższymi, wydaje światło ró-

wne pochodzącemu z trzech świec, funkcyonujące przez siedem i pół godzin. Lampy równie jak stosy są hermetycznie zamknięte i górnik nie może ich dosięgnąć, natomiast może zapalać i gasić lampę za pośrednictwem klucza.

Rury papierowe. Wiadomo, że w ostatnich czasach z masy papierowej otrzymano szyny do dróg żelaznych trwalsze i tańsze od metalowych; obecnie z tegoż materyału wyrobiono rury wodociągowe i inne, których fabrykacya nie przedstawia żadnych trudności. W tym celu paski papierowe, szerokości zastosowanej do długości rury, przeprowadzają się przez roztopiony asfalt, a następnie nawijają na walce. Z pozyskanych w ten sposób rur, po ich ostygnięciu, wyjmują się walce zajmujące ich wnętrze, a następnie powierzchnia wewnętrzna rur pokrywa się emalią. Czem jest właściwie ta emalia, nie możemy określić, gdyż wynalazca zachowuje jej skład w tajemnicy; zewnętrzna zaś powierzchnia rur pokostuje się asfaltem opruszonym piaskiem.

Rury takie mają znosić ciśnienie wewnętrzne, dochodzące 133 atmosfer, przy grubości ściany rury dwunastomilimetrowej (prawie półcalowej).

Wyciski drzewne. Poddając drzewo w formie żelaznej składanej wielkiemu ciśnieniu przy współdziałaniu ciepła, przyjmuje ono jaknajdokładniejsze wyciski formy.

Drzewo z włóknem zbyt twardem nie jest tu przydatnem. Odrośle jesionu, klonu, bukszpanu itp. najlepiej nadają się do tego użytku, z powodu włókien krzyżujących się we wszystkich kierunkach, a niemniej i drzewa pospolitsze, jak np. lipa. Drzewa żywiczne są całkiem nieodpowiednie do tej operacyi z powodu przejmującej je żywicy, wytwarzającej na nich guzy i garby. Wyciski otrzymują się najdoskonalsze z drzewa przepiłowanego poprzecznie do włókien.

Do ciśnienia służy prasa żelazna ręczna lub hydrauliczna. Blat, na którym spoczywa forma, równie jak blat, naciskający drzewo, powinny być rozgrzane, lecz nie dochodzić czerwoności nawet wiśniowej, a to dla uniknięcia zwęglenia. Pomimo tych ostrożności, drzewo w ten sposób przygotowane przyjmuje barwę brunatną, która jednak z czasem niknie wskutek wpływu powietrza.

Wynalazek Edisona. Na sierpniowem posiedzeniu amerykańskiego „Towarzystwa popierania postępu nauki“ Tomasz Alwa Edison miał odczyt o najnowszym swoim wynalazku z dziedziny elektrotechniki, a mianowicie: *O pyromagnetycznej maszynie*, wytwarzającej elektryczność przez palenie się węgla. Dotychczas najzdolniejsze umysły pracowały napróżno nad rozwiązaniem tego zadania, odkrycie więc Edisona zasługuje na szczególną uwagę, tembardziej, że może znaleźć wkrótce zastosowanie praktyczne.

W konstrukcyi owej maszyny Edison opiera się na znanem prawie, iż ogrzewanie i ochładzanie dobrych przewodników magnetyzmu, jakimi są: żelazo, kobalt i nikiel, wpływa na zmianę ich magnetycznego natężenia, przyczem ogrzewanie zazwyczaj zmniejsza magnetyczną siłę przewodnika. Jeżeli jednak będziemy zmieniali siłę danego magnesu przez następujące po sobie ochładzanie i ogrzewanie go, możemy się przekonać zapomocą elektroskopu, iż każda zmiana temperatury wywołuje w danym magnesie prąd elektryczny.

Przekonawszy się o tem zapomocą licznych doświadczeń, zbudował Edison na tej zasadzie naprzód dwa pyromagnetyczne motory, a następnie przedstawioną w Towarzystwie new-yorkskiem maszynę pyromagnetyczną. Ośm magnetycznych podków, umieszczonych wkoło pionowej żelaznej osi, stanowiącej wspólny ich biegun i ośm blaszanych rolek w odpowiedniej odległości, otoczonych elektroskopami — oto całe uzbrojenie maszyny, odznaczającej się, jak widzimy, nadzwyczajną prostotą.

Rolki połączone drutem, tworzą prąd zamknięty. Pionowa tafla z wypalonej gliny rozdziela cały przyrząd na dwie części. Maszyna umierza się na wierzchołku odpowiednio urządzonego piecyka, którego płomień ogrzewa raz jedne, to znowu drugie cztery rolki, wskutek czego w podkowach magnetycznych powstają coraz nowe prądy. Na wierzchołku żelaznej osi umieszczony jest regulator, nadający im stały kierunek.

Wysokość temperatury i szybkość następujących po sobie zmian, wpływają głównie na siłę wytwarzanego prądu; te ostatnie, według obliczeń Edisona, w pomyślnych warunkach wynosić mogą do 120 na minutę. Co do wysokości temperatury, to pamiętać należy, iż dla każdego z metalów istnieje granica, po za którą utraca on zupełnie swoje magnetyczne właściwości i wybrać właśnie tę, w której dochodzą one najwyższej potęgi.

Pozostaje tylko zapomocą doświadczeń i rozpowszechnienia przekonać ogół o użyteczności i znaczeniu maszyny pyromagnetycznej. Otrzymane rezultaty dowiodły, że pod względem taniości produkcyi motor ten przewyższa najlichsze ze wszystkich dotychczas przyrządów. W porównaniu z lepszymi — ustępuje on w sile, jeżeli maszyny równej wagi za równosilne uznawać chcemy. Ostatecznie więc jest to motor o sile średniej, odznaczający się najwyższą taniością i prostotą, a dla tych zalet mający niezaprzeczenie przyszłość zapewnioną, tak przynajmniej utrzymują specyaliści, dla których udoskonalenie i spotęgowanie maszyny pyromagnetycznej jest dzisiaj już tylko kwestyą czasu.

W. N.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

U przeciwległego bieguna.—Przyjemności niełaski.— Pośredni regulator. — Nagle oświadczyny. — Występ p. Gozdawy i oklask dla Świętochowskiego. — Szczególny przywilej. — Dwa przypomnienia. — Recepta na wyrób konserwatystów i postępowców. — Sekciarstwo. — Dzięki za ciepłe łono. — Niepowrotnie straceni. — P. Skrzyński jako okaz do lekcyi poglądowej. — Wyradzanie się i zwyrodnienie. — Spółka owocarska.

Słowo nie może się skarżyć, ażebyśmy względem niego odgrywali rolę Antonia z *Don Żuana* względem Alfonsa. To znaczy, gdy „he stood in act to speak, or rather stammer“ — nie przerywaliśmy mu, nawlekając tylko perły wymysłów, przygryzków i posądzeń na nić milczenia i przyozdabiając tymi sznurami drogocennych paciorek naszą ubogą szyję. Poprostu było nam tak dobrze, przyjemnie — u przeciwległego bieguna. W tej przeciwległości zgrzyty *Słowa*, płynąc ku nam, zamieniały się na harmonijne tony, pomrukiwania — na pieszczoty, gryzące swędy — na miłe wonie, złość — na miłość, a wszystkich tych cudów dokonywało przekonanie, że przeciwnik nigdy nie poklepie nas po ramieniu i nie powie: „bądźmy przyjaciołmi, Cynno!“ Nadzieja ta zaś nie była ani nienawiścią, ani gniewem, nie była nawet kryształkiem osiadłym po wyschnięciu słonogorzkiej wody, jaką pojono i w jakiej kąpano nieraz *Słowo*, wytykając mu stańczykowskie galony i zależność od niewidzialnych duchów arystokratyczno-plutokratycznego Olimpu. Nie, w odróżnieniu od pism „przyzwoitych“ i „poważnych,“ sądząc sprawy dziennikarskie, nie zwykliśmy sięgać wzrokiem po za brzegi zadrukowanego arkusza, a nagany *Słowa* były dla nas jedną z miar prawidłowości rozwoju naszych zasad; bo jak słusznie powiada Schiller — „przyjaciel uczy mnie, co mogę, a nieprzyjaciel — co powinienem.“ Napawaliśmy się więc rozkoszą nieukontentowania gazety, która miała z nami tylko wspólny mianownik języka i kilka artykułów wiary obywatelskiej, a często wypadała z zarośli interesów szlachecko-kapitalistycznych z kamykiem lub błotną grudką na pisma postępowe. W wyzwaniach nie było powagi, a więc z naszej strony nie było potrzeby przyjmowania walki, zwłaszcza wobec pośredniego w zaczepkach dowodu, że drogi nie zmyliliśmy. Gdy wiatr od *Słowa* wiał nam prosto w oczy, nie mogliśmy wątpić, że płyniemy w pożądanym kierunku.

Czy pismo to chciało nas zbłąkać, czy tylko dla swego monologu wywołać głos odpowiedzi, dość, że w *Prawdzie* powitało swego druha Cynnę. „Przeszłym razem — powiada — zaznaczyliśmy, że p. Świętochowski przestaje być osobistym nieprzyjacielem Pana Boga i godzi się, aby zgłodniała prawdy i sprawiedliwości rzesza szukała jej nieco wyżej, niż sięga istota zadrukowanej bibuły. *Obecnie* daje pardon srodze dotąd mordowanej „szlachcie,“ twierdząc, że aczkolwiek zostały z niej same popioły, ale w popiołach tkwi iskra szlachetności, nosząca zadatki materyalnego i moralnego odrodzenia.“ W tych kilkunastu wyrazach mamy cały garnitur klejnotów polemiki warszawskiej, uprawianej przez *our betters*— „naszych lepszych“: i cięcia boczne, i swawolne podrygi, i zamianę sprawy społecznej na kaprysy jednej osoby, i nieprawdę. Pomijam naiwną uciechę nad zgodą Świętochowskiego z „Panem Bogiem,“ mającą tylko sensu, ile np. traktat p. Jacka Soplicy z Jowiszem, pomijam dziworódność mniemania, jakoby ludzie, których umysł odmawia bytu metafizyce religijnej, mogli być wrogami jej tworów; pomijam kusą logikę, według której szacunek a nawet uznanie praktycznej, np. politycznej, wartości przesądu ma być teoretyczną w ten przesąd wiarą; zaznaczę tylko naprzód, że źródełkiem radości *Słowa* w *Prawdzie* był artykuł... pana Gozdawy. Czytelnikom naszym wiadomo, że chcąc ustrzedz się jednostronności w rozbiorze spraw społecznych, dawaliśmy często głos stronom bezpośrednio interesowanym. Tak np. kwestyę rusińską rozjaśniali u nas rusini, kwestyę ziemiańsko-szlachecką p. Gozdawa, umysł krytyczny, z wielu złudzeń otrzeźwiony, pragnący wyrestaurować ruderę szlachecką. Wprowadzając go do *Prawdy*, zastrzegliśmy osobnym przypiskiem, że jego wiara społeczna nie we wszystkich punktach przystaje do naszej, ale ogólny przedmiot jej dążeń z naszym się zgadza. Zdawałoby się, że obrońcy szlachetczyzny *sans phrase* dostrzegą w p. Gozdawie bardzo pożądanego przeciwnika do dysputy, że z nim rozprawę chętnie podejmą. Tymczasem — nie; *Słowo* całkiem odsuwa p. Gozdawę i na jego miejsce stawia — p. Świętochowskiego. Gdyby komu przyszła chęć zapytać: co tu robi p. Świętochowski—zdradziłby nieznajomość reguł polemiki warszawskiej. Ów bowiem p. Świętochowski posiada szczególny przywilej: musi być przypozwanym zawsze, ile razy jest pozwanym ktokolwiek z *Prawdy*. Gdyby p. Popławski napisał był ocenę „Akwarel“ w *Słowie*, p. Zapolska i jej rycerze walczyliby tylko z p. Popławskim. Bo można mówić o *Słowie* bez p. Sienkiewicza, o *Gazecie warsz.* bez p. Keniga, o *Gazecie pols.* — bez p. Leo, ale o *Prawdzie* bez p. Świętochowskiego — niepodobna, tak dalece, że jeśli komitet wystawy hygienicznej oświadczy się za Gadronitem przeciw Exsiccatorowi (ogłaszanemu u nas), nie zdziwiłbym się wcale połączeniu p. Rittera z p. Świętochowskim. Mniejsza o śmieszność tych skojarzeń, ale mamy w nich dowód, do jakiego stopnia polemika niektórych pism, przynajmniej względem *Prawdy*, przybiera cechy osobiste.

Podczas 7-letniego istnienia pismo nasze wydało dwie odezwy programowe. W pierwszej powiedziano: „W każdem społeczeństwie widzimy i uznajemy tylko ludzi, bez względu na rozdział i ugrupowanie się jego żywiołów. Na tej też podstawie opierać będziemy wszystkie nasze wywody społeczne, broniąc zawsze ludzkich praw, ludzkich krzywd i ludzkich dobrodziejstw.“ W drugiej: „*Prawda* nie jest młotem sekciarskiej kuźni, nie jest organem jakiejś *klasy* społe-

cznej, lecz organem inteligencyi, ludzi światłych i umysłowo wyzwolonych, widzących siłę i szczęście własne i ogólne w rozwoju *wszystkich* czynników postępu, *bez względu na to, do jakiej warstwy narodu* ci ludzie należą.“ Jeżeli przyłożymy tę miarę do siedmiu roczników naszego pisma, to przekonamy się, że ono ją ciągle wytrzymuje i że „obecnie“ nie dokonywa się żaden „zwrot.“ *Słowo* tego uczynić nie może, bo nietylko żyje w kraju sekt społecznych, ale samo jest sekciarskiem. U nas programy, barwy, sztandary pism znamionują się następującymi sylogizmami:

Ponieważ jesteś szlachcicem, chłopem, księdzem, żydem, więc jesteś zacnym obywatelem (lub dumnym głupcem), dzikim szkodnikiem (lub odrodzicielem zwyrodniałych), czcigodnym kapłanem (lub sfanatyzowanym chciwcem), pijawką (lub pszczołą). Ponieważ to zrobił szlachcic, więc jest szczytne (lub niegodziwe) itd. według upodobania. Kto chce mieć barwę, musi sobie przypisać jeden lub drugi z tych logicznych kwiatków, a nadto jako konserwatysta powinien wymyślać przeciwnikom ze słodkim uśmiechem, a jako postępowiec — ze zwichrzoną czupryną. *Słowo*, zaprzysiągłszy swą wierność cnotom i wadom szlachty, naturalnie oprawiło nas w ramy ciasnego, sekciarskiego liberalizmu, a gdy widzi, że *Prawda*, która pragnie być *ludzką*, wyrażać dążenia arystokracyi w rozumieniu greków starożytnych, arystokracyi duchowej, tym lub owym bokiem rozpiera te ramy — obwołuje „zwrot,“ syka lub klaszcze. A to nie żaden „zwrot,“ tylko naruszenie prawideł warszawskiego sekciarstwa, służącego — jak charakterystycznie ono się wyraża — interesom pewnej warstwy narodu. Dla nas taką warstwą są ludzie inteligentni, rozumni, świadomi wyższych zadań społeczeństwa i pracujący nad spełnieniem ich — bez względu na to, czy to są szlachcice, chłopi, żydzi itd.; że zaś jakiś żywioł uczestniczy w tej pracy mniej licznie, niż inny, że na 100 obywateli ziemskich widzimy jednego, a na 100 lekarzy 60 arystokratów duchowych, to nie wada naszego wzroku, ale wina stosunków inteligencyi.

Możeby nam dobrze było na ciepłem łonie Abrahamów i Izaaków *Słowa*, wolimy jednak mizerny padoł naszego stanowiska i pomimo łaskawej zachęty do otwartego nieba konserwatyzmu nie wejdziemy. Niech ono nas uważa za straconych niepowrotnie, chociaż „p. Świętochowski przestał być osobistym nieprzyjacielem Pana Boga“ i „dał pardon szlachcie.“ Och, szanowni Piotrowie tego nieba, gdybyście posiadali moc takiej zmiany naszego powietrza, że w niem ów p. S. nie musiałby być kopcącym kagankiem, lecz mógł płonąć swobodnie, z jakim trzaskiem zamknęlibyście drzwi przed nim.

Życie dostarcza mi w tej chwili przykładu dla wyilustrowania metody sekciarskiego wnioskowania. W Krakowie stawał przed sądem za oszustwo niejaki p. St. Skrzyński, światło pańskich salonów, rycerz z konserwatywną tarczą w prasie, człowiek, który miał ciągle na języku oleje święte prawomyślności, a na wargach szyderstwa dla „warchołów.“ Otóż chcąc zaznaczyć demokratyzm parafii nadwiślańskiej, powinienbym włożyć pod prasę tego „chevalier'a“ i wycisnąć zeń dowód, że każdy szlachcic, konserwatysta jest zdolnym oblepić nieprawościami swoje ręce. Naodwrót, gdyby ten jegomość był „pozytywistą,“ rzetelny zachowawca powinienby takimże zarzutem wysmarować wszystkich pozytywistów. Jest to przykazanie katechizmu sekciarskiego, nasza socyologia.

Zaiste, może to prawda, że „wyradzamy się.“ Krzyk tego niepokoju, rzucony niedawno w naszą opinię, wywołał w niej dreszcze; a chociaż *Kraj* chciałby „powstrzymać przedwczesne wywody pesymistyczne“ co do narodowości naszej, nawet nienadziany piołunem *Kuryer codzienny* twierdzi, że organ petersburski „wątpliwą społeczeństwu oddaje przysługę, ukrywając bowiem niebezpieczeństwo, zmniejsza energię do walki ze zgubnymi wpływami, podrywającymi naszą siłę plemienną.“ *Kraj* ma jeszcze za mało „wyczerpujących danych“ stytystycznych. Widzieliśmy go nieraz daleko mniejszą ilością „danych“ popierającego daleko wątpliwsze wywody — czemuż w tej sprawie stał się tak wymagającym? Poprostu dlatego, że socyolog i polityk petersburski lubi siadać pod stogiem swych informacyj i filozofować oryginalnie, odsłaniać zakryte dla innych widnokręgi i uczyć z miną owego mędrca, który wołał: „Posłuchajcie, co ja prawię, bo przecie byłem w Warszawie.“ Sofiści dowodzili, że Achilles nie dogoni żółwia, o ileż łatwiej obracać na wspak dowodzenia socyologiczne! A sofistów *Krajowi* nie brak.

Według *Kuryera*, jeszcze nie zwyrodnieliśmy, ale już wyradzamy się. Ponieważ mu o ten odcień bardzo chodzi, więc przyznajmy różnicę, ale zarazem i tę prawdę, że wydobyta z niej pociecha niewiele waży. Czy dopiero wyradzamy się, czy już zwyrodnieliśmy, to — zwłaszcza wobec naszej „energii“ — do faktu smutnego wprowadza małą zmianę. Fakt ten zaś świadczy, że staczamy się po pochyłości,

Dzięki licznej nagance i wytrwałości „huczków,“ zebrało się aż 20 członków przyszłej spółki owocarskiej, którzy wreszcie umowę podpisali. Jest to w przedsięwzięciu jeszcze nie wszystko, bo dalsze jego losy zależą od wytrwałości owego grona; ale czego pomyślnie dokonano, uczcić należy — zebranie 20 ludzi jednego dnia, o jednej godzinie, dla jednego celu! Herkules nie dokonałby takiego dzieła, gdyby mu je pomieszczono między 12 robotami. Łatwiej pochwycić w śniegu byka erymantyjskiego.

Poseł Prawdy.

ZE WSCHODU.

Wypasy leśne. — Niezaradność szlachecka i spryt niemiecki. — Projekt spółki belgijsko-szlacheckiej.— Ogrodnictwo.—Pszczelnictwo. — Ograniczenie liczby studentów w Kijowie i Odesie. —Nowa instytucya.— Sprawy czynszowe na Podolu. — Nowa forma pańszczyzny.

Przed kilku miesiącami w łódzkim sądzie okręgowym na Wołyniu rozstrzygano ważną sprawę wypasów leśnych. Ze względu na ogólny charakter zasługuje ona na uwagę. W r. 1881 właściciel wsi Kniaża (pow. włodzimierskiego gub. wołyńskiej) p. Leon Starczewski, wykarczował około 40 dziesięcin lasu, gdzie włościanie bydło pasali. Odtąd zaś wolno im było korzystać tylko ze ściernisk i ugoru. Trwało to lat pięć. W r. 1886 poszkodowani wytoczyli proces o wzbronienie właścicielowi obsiewania wykarczowanej przestrzeni i pozostawienie jej jako pastwisko. Obrońca powodów dowodził, że prawo włościan w nadaniu wsi Kniaża jest rodzajem serwitutu na majątku. Adwokat strony pozwanej utrzymywał, że ono nie może być zaliczone do praw nabytych przez włościan przy uwłaszczeniu. Natomiast wskazał istotny początek pretensyi, przytaczając rozporządzenie generał-gubernatora kijowskiego, Bezaka, z d. 4 sierpnia 1866 r., po zwiedzeniu przezeń powiatów: rowieńskiego, łuckiego, kowelskiego, włodzimierskiego, zwiahelskiego, owruckiego i żytomierskiego. Zjazdy „mirowych pośredników“ i komisye wydziałowe tych powiatów tak rzecz podówczas przedstawiły: Na Polesiu w większej części majątków grunty włościańskie są porozrzucane drobnymi kawałkami po lasach obywatelskich, sianokosy także przeważnie leśne, orne pola włościańskie powstały z karczunków, nieurodzajne, piaszczyste, potrzebują dużo mierzwy, a zatem lud musi utrzymywać sporo bydła, co jest niemożliwe bez paśników, z których chłopi korzystali w lasach dworskich, zaś po zniesieniu pańszczyzny skrępowano ich pewnemi ograniczeniami i nałożono opłaty dodatkowe. Zmiany w stosunkach włościańsko-obywatelskich nie pozwoliły chłopom trzymać potrzebną ilość bydła. Rząd gubernialny zawiadomił „zjazdy mirowe,“ że do czasu zatwierdzenia aktów wykupnych włościanie powinni nadal korzystać z posiadanych pastwisk w lasach obywatelskich. W cyrkularzu z d. 15 lutego 1864 r. główny naczelnik kraju północno-zachodniego pozwolił włościanom użytkować w tym celu z lasów dworskich, jeżeli i przedtem z nich użytkowali; zezwolił też na wyznaczanie miejsc i na wzmiankowanie o nich w aktach wykupnych. Uchwała połączonych komitetów głównego i zachodniego (zatwierdzona 25 maja 1864 r.) zgodziła się na przymusowe rozgraniczenie pastwisk leśnych w prowincyach północno-zachodnich. Trzy artykuły ustawy miejscowej mówią, że włościanie pozostają nadal przy tych samych gruntach, z których korzystali dawniej, zaś o pastwiskach prawo milczy. Za „prawa dodatkowe“ lud odrabiał obywatelom „dnie budowlane“ (*stroitielnyje dni*). W inwentarzach majątków poleskich w liczbie „praw dodatkowych“ jest wzmianka i o paśnikach leśnych, określonych raz pewną liczbą dziesięcin lub nazwą uroczyska, to znów nie wykazano ani miejsca, ani obszaru. Ze względów powyższych p. generał-gubernator orzekł: a) że trudności co do wypasów dla włościan uwydatniają się głównie na Polesiu w majątkach 8 i 9-ej klasy ziemi; b) że korzystanie z nich nie było tam jednostajne; c) że przy rozrzuceniu pól i sianożęci włościańskich po lasach nie podobna wyznaczać przejść i przepustów do każdego pola, również niemożliwem jest przepędzanie bydła inaczej, jak przez las obywatelski. Wskutek tego gen.-gubernator polecił „zjazdom mirowym,“ ażeby na Polesiu gub. wołyńskiej: 1) włączały do wykupnych aktów za odpowiednie odrobki, te pastwiska włościańskie, które pozostawały w wyłącznej używalności włościan i zaliczone były w inwentarzach do gruntów chłopskich (*mirskich ziemiel*); 2) przy niemożności wyznaczania przepustów na porozrzucane po lasach cząstki włościańskie, należy zostawić dawne miejsca przepędu przez ziemię obywatelską aż do czasu rozgraniczenia; 3) pastwiska leśne bez ograniczenia miejsca i ilości powinny być zostawione włościanom jedynie w mierze rzeczywistej potrzeby do czasu rozgraniczenia i to na zasadzie wzajemnego porozumienia się obywatela z włościanami w sprawie miejsca i obszaru. Gdyby zaś porozumienie nie nastąpiło, należy wyznaczać pastwiska stosownie do miejscowych zwyczajów i wygody; 4) jeżeli obywatel wydzieli włościanom dobrowolnie należną ilość pastwiska na własność, to opłat włościańskich w żadnym razie zniżać nie wolno; jeśli zaś wskutek miejscowych warunków zupełnie nie można było przyznać włościanom prawa pasania w lasach dworskich, wówczas należy redukować normę opłaty. Wywody obrońcy obywatela z powyższego cyrkularza są następujące: wzmiankowany przywilej wypasów leśnych wprowadzony został drogą administracyjną i jest tam wzmianka tylko o Polesiu wołyńskiem, mianowicie o miejscowościach zaliczonych do klasy 8-ej i 9-ej. Z tych powodów pomienione prawo wypasów *leśnych* nie obowiązuje wcale obywatela, jako osoby przy powstaniu aktu żadnego udziału nie biorącej. Prawo wypasów *polowych* (*polewaja tołoka*) nie może ograniczać właścicieli pod względem sposobu prowadzenia gospodarstwa i zamiany systemu trzypolowego na płodozmiany. Nadto serwitut *leśny* może być przerwany *jednostronną* wolą właściciela przez wyrąbanie lasu i uprawę ziemi pod rolę. Pomimo powyższych wyłuszczeń po-

zwany przegrał sprawę. Sąd polecił mu zaprzestać uprawy wykarczowanej części ziemi. Na ten wyrok apelowano do kijowskiej izby sądowej *).

W społeczeństwie naszem istnieją wielkie zastępy rycerzy usypujących szańce ku obronie *dzielności* szlacheckiej. Pomimo zapału słabnie ich siła, gdyż za gęsty ogień sypią kolubryny, którym nie mogą ostać wątłe nasypy. Oto jeden armatni strzał na Wołyniu. Obywatel R., chcąc się ratować łatwym sposobem, zastawił obszerny majątek w banku połtawskim. Nie wyrwało to go z toni; za wiele nieużytków, ziemia nieurodzajna, zgubiły do szczętu właściciela. Posiadłość jego przeszła do instytucyi kredytowej. Następnie nabył ją obcokrajowiec w 1880 r. I cóż się stało z niewdzięczną glebą? Ujarzmiona postępowem gospodarstwem, poczęła znakomicie rodzić. Na znacznej przestrzeni sterczały jeszcze pnie — świadectwo pięknego lasu, który był ostatnią deską zbawienia poprzedniego posiadacza. Nowonabywca sprowadził niemców z zagranicy i za dotknięciem ich rąk niezmordowanych, w miejsce pniów stoją dziś sterty ciężkiego zboża. Pozostały zarośla nieużyteczne; tam zjawiły się ładne, schludne kolonie niemieckie, których mieszkańcy cudów dokazują na roli; urodzaje dochodzą do bajecznych rozmiarów. W pozostałych lasach wprowadzono gospodarkę wzorową. Oprócz rolnictwa zakwitł przemysł; założono smolarnię i fabrykę porcelany. Tę ostatnią wziął w dzierżawę kapitalista z Ostroga, Zusman, na czas bardzo długi. Dziś już przepowiadają, że fabryka ta wkrótce będzie mogła spółzawodniczyć z najlepszymi tego rodzaju zakładami w Rosyi, dowodem czego popyt miejscowego fajansu na większych rynkach krajowych.

Na Wołyniu prócz faktów ujemnych bywają dodatnie... projekty miejscowego obywatelstwa. Poruszono tam myśl utworzenia wielkiej spółki udziałowej, w skład której mają wchodzić ziemianie wołyńscy i... kapitaliści belgijscy. Celem towarzystwa będzie wydobywanie rudy żelaznej obfitej, szczególnie w dolinie spławnej rzeki Słuczy. Jeśli ten pomysł w czyn wejdzie, można mu będzie wróżyć powodzenie, ale dla tego tylko, że nasze pliszki puszczą się na tę wędrówkę pod skrzydłami bocianów belgijskich. Może z czasem i ogrodnictwo zadziwi nas swoją potęgą, gdy się doń wezmą obcy pomocnicy. Dziś ono w kraju południowo-zachodnim drzemie w powijakach.

Istnieje w Humaniu szkoła ogrodnicza, w programie swoim posiada wielki zakres przedmiotów ogólnych, ale wychowańcy jej najmniej zdobywają wiadomości w kierunku specyalnym. W promieniu stu wiorst od Humania nie można spotkać ani jednego ogrodu owocowego, gdzieby znać było wzorowe urządzenie, wszędzie rutyna odwieczna. Trudno bo też wymagać wpływu od szkoły humańskiej, skoro jej b. uczniowie tułają się na służbie jako skrobipiórki w policyi, sądach, albo oficyaliści na drogach żelaznych, w akcyzie, słowem we wszystkich zawodach, tylko nie w ogrodnictwie.

Za to wejdźmy do ogrodów mniej więcej wzorowo urządzonych: panem jest tam ogrodnik zagraniczny, pielęgnujący rośliny z nasion zagranicznych. Kraj ten musi chyba posiadać przyjazne warunki dla owej gałęzi gospodarstwa, skoro ogród Kristera, cudzoziemca, pod Kijowem, wzrósł w ogromną potęgę i zabija niezdarnych współzawodników. Prawie w takiem samem położeniu pszczelnictwo. Tylko nieliczni ochotnicy o większych zasobach pieniężnych uprawiają wzorowe pasieki. W klasie średniozamożnej i ubogiej w rodzie niewieścim przejawia się coraz większa dążność ku przyswojeniu sobie tego fachu. Spieszą do Warszawy do muzeum pszczelniczego lub... marzą o tem. W Kijowie pewne towarzystwo miłośników oświaty robi starania w celu rozwinięcia wzorowego pszczelnictwa śród włościan. W tym kierunku wiele mogłyby zrobić popularne wykłady teoretyczno-praktyczne we wszystkich szkołach ludowych. Z projektem owym kółko kijowskie zwróciło się do ministeryum skarbu, do towarzystwa wolno - ekonomicznego itd. Jeśli w tym względzie nie zajdą żadne przeszkoby, skutki pomysłu mogą być świetne.

*) Ciekawi znajdą w obszernem sprawozdaniu drukowanem w *Kraju* wiele zajmujących szczegółów z tej sprawy.

Reformy szkolne i uniwersyteckie wywołały wielki popłoch śród zwolenników „wyższego" kształcenia się. Są już dotkliwe skutki dla pewnych klas. W bieżącym roku akademickim 60 starozakonnych z „maturą" w ręku pospieszyło do uniwersytetu odeskiego. Lecz zaledwie dla *dziewięciu* szczęśliwych wybrańców otworzyły się podwoje wszechnicy. Do uniwersytetu kijowskiego około 400 młodzieńców podało prośby o przyjęcie w poczet słuchaczów. Odesłano przeszło sto odpowiedzi odmownych. W liczbie kandydatów jest 60 żydów. *Kijewskoje słowo* robi przypuszczenia, że z tych ostatnich najwyżej 25 może być przyjętych.

Na Podolu wielki ruch wywołała nowowprowadzona instytucya do spraw czynszowych (*czinszewoje prisutstwie*). W pow. winnickim istnieje ona od grudnia roku przeszłego. Prócz urzędników państwowych biorą tam udział obywatele miejscowi. Charakterystycznie zachowali się ci ostatni przy roztrząsaniu kwestyi, jaką sumę każdy z nich ma wnosić rocznie na pensyę dla członków od spraw czynszowych ze strony ziemian? Jedni odpowiedzieli, że przedstawiciel obywatelstwa jako szlachcic i człowiek z zapewnionym bytem, powinien pełnić obowiązki bezinteresownie; drudzy chcieli wprzód wiedzieć, kto będzie wybrany, a inni określili cyfrę składki: wynosi ona ogółem od szlachty z całego powiatu *czterdzieści sześć* rubli rocznie. Skoro tylko wieść się rozbiegła o otwarciu komisyi, posypały się prośby czynszowników o pozwolenie na wykup ziemi. Są między nimi i mieszkańcy miasteczek, albo tacy, którzy władali wprzód ziemią na prawach czynszowych, ale pozbawieni jej jeszcze przed ogłoszeniem nowych przepisów, nigdzie nie objawiali swych roszczeń, a więc obecnie na zasadzie § 6 przepisów utracili prawo do tej ziemi. Powstaje teraz kwestya w czynie, bodaj nie przewidziana w nowych przepisach — o prawach mieszkańców dzisiejszych miasteczek, które dawniej liczyły się jako wsie, gdy w nich osiedli czynszownicy. Do tego czasu obywatele obowiązani byli dostarczyć instytucyi do spraw czynszowych spis wszystkich mieszkających w ich majątkach czynszowników, potem ma nastąpić rozpatrzenie praw tych ostatnich i sporządzenie wykupnych aktów ziemi, które nie będą wcale przeszkodą w dobrowolnej ugodzie obywateli z czynszownikami, na co zostawiono trzy lata czasu. Termin ten również nie będzie zawadzał w sporządzeniu aktów przed jego upływem. Jeśli dobrowolna ugoda nastąpi po sporządzeniu aktów, lecz przed upływem terminu, będzie ona miała siłę, akta zaś pozostaną bez znaczenia. W celu zaznajomienia ziemian i czynszowników z przepisami nowego prawa, ziemski wydział ministeryum spraw wewnętrznych ogłosił broszurkę i rozesłał ją „mirowym pośrednikom" dla rozprzedania. Książeczka ta ma tak wielki popyt na Podolu, że w krótkim czasie musiano sprowadzić nowy transport.

Z Podola przenieśmy się w górę, na lewy brzeg Dniepru. Znajdziemy tam rzeczy ciekawe, którychby się nie powstydził wiek osiemnasty. W miejscowości o poetycznej nazwie — Borystenowce, należącej do barona von Srücka, osiadło 400 estończyków. Dostali oni od właściciela działki ziemi na własny użytek, za co odbywają w folwarku pańszczyznę. Umowy piśmiennej nie mają wcale. Niektórzy przyciśnięci biedą, chcieli osiąść w innem miejscu; lecz baron zagroził, że odeśle ich etapem do miejsca urodzenia. Musieli pozostać. Większość doszła dziś do takiej nędzy, że już z własnej nawet woli nie mogłaby bez żadnych środków opuścić fatalnej miejscowości. Wiadomość tę podaje estońska gazeta *Wirulane*. Może rodacy przyjdą w pomoc nieszczęśliwym.

Zen. P.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ministeryum oświaty otrzymało mnóstwo podań rad miejskich w Cesarstwie, cofających zasiłki udzielane przez miasta szkołom rządowym.

Ograniczenia. Zakaz przyjmowania kandydatów żydów w stosunku przechodzącym 10% ogólnej liczby studentów, rozciągnięty został i na liceum prawne w Jarosławiu. Ze 160 izraelitów przyjętych zostało 31.

Wystawę pszczelniczą otwarto w Poznaniu. Działy: 1) pszczoły żywe, 2) ule, 3) machiny i narzędzia do hodowli pszczół, 4) produkty pszczół, 5) pomoce naukowe.

W Zurichu w r. b. następujący polacy ukończyli politechnikę: Kułaczkowski (architektonikę), Kirsztein (mechanikę), Straszewicz (elektrotechnikę), Kwiatkowski i Wiźnik (chemię). Ten ostatni został mianowany pierwszym asystentem profesora Lungensa.

Drogi żelazne w państwie rosyjskiem (od 13 stycznia do 13 lipca r. b.) otrzymały ogólnego dochodu 114,174,264 rs., czyli po 4,174 rs. na wiorstę. Koleje rządowe dały 8,466,840 rs. (po 2.056 rs. na wiorstę). prywatne 105,707,424 rs. (po 5,182 na wiorstę). Wszystkie linie, prócz dziewięciu, poprawiły interesa.

Ostrzeżenie. Dyrekcya drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej i bydgoskiej wydała okólnik uprzedzający, że każdy urzędnik lub oficyalista, przekonany o przewożeniu z zagranicy przedmiotów nieocłonych, w czasie pełnienia służby, natychmiast otrzyma dymisyę.

Na stacyach kolei wiedeńskiej w salach osobowych zawieszono w miejscach widocznych szafki oszklone, w których służba stacyjna wystawiać będzie wszelkie notyski, listy i depesze nadsyłane do osób przejeżdżających koleją.

Ze sztuki. Komitet Towarzystwa sztuk pięknych wybrał na premiową reprodukcyę dla członków obraz Alfreda Kowalskiego „Zakochany pocztylion," nagrodzony w Monachium.

— Malarze bataliści z Brandtem na czele rozpoczęli malowanie olbrzymiej panoramy, przedstawiającej bitwę pod Berezyną. P. St. Wolski udał się dla studyów na miejsce.

Prof. Józef Kasznica we Lwowie ciężko zachorował. Lekarze nie czynią nadziei.

We Lwowie świeżo utworzoną katedrę anatomii przy uniwersytecie objął prof. miejscowej szkoły weterynaryjnej dr. Henryk Kadyi.

Kongres hygieniczny w Wiedniu został zamknięty. Uchwalono, że przyszły odbędzie się 1891 r. w Londynie.

Dr. Hirsz, słynny milioner i filantrop, według doniesienia z Krakowa, ofiarował wielką sumę na założenie szkoły przemysłowej dla sierot żydowskich.

Wielkie oszustwo wykryto w wiedeńskim urzędzie menniczym, który od lat siedmiu był okradany systematycznie, na czem stracił 100,000 złr. według sprawozdań policyi, zaś 200,000 złr. według gazet wiedeńskich. Zaaresztowani robotnicy mennicy zeznali, iż od r. 1880 codziennie kradziono 2—3 kilo srebra.

Do szkoły felczerów w Warszawie, według nowych postanowień, mogą uczęszczać ci tylko praktykanci, którzy ukończyli dwie klasy gimnazyalne lub dwuklasową szkołę elementarną. W zeszłym roku było około 10 uczniów, teraz zaś wskutek obostrzenia — niespełna 20,

Urzędy gminne w gub. kurlandzkiej otrzymały okólnik gubernatora, nakazujący wybierać na pisarzów tylko takich kandydatów, którzy dostatecznie władają językiem rosyjskim.

Poczta. Z powodu częstych wypadków przesyłania pieniędzy w listach zwyczajnych, departament

pocztowy wydał odezwę, objaśniającą, iż przepisy pocztowe wzbraniają umieszczania pieniędzy w prostej lub rekomendowanej korespondencyi. Pieniądze znalezione w takich listach będą konfiskowane.

Podatki. Według dzienników rosyjskich, minister skarbu obmyślił cały szereg nowych podatków, między innymi akcyzę od świec stearynowych, wód musujących i zapałek, tudzież podatek od biletów na parostatkach.

Ministeryum oświaty polecilo kuratorom okręgów naukowych, iżby zwrócili baczną uwagę na gimnastykę w szkołach, dotychczas traktowaną z pewnem lekceważeniem.

Komisya specyalna ministeryum spraw wewnętrznych opracowała przepisy o wynagrodzeniu właścicieli inwentarza za bydło zabite w celu zapobieżenia szerzeniu się zarazy. W razie księgosuszu właściciel otrzymuje wynagrodzenie wyrównywające wartości zabitej sztuki. Za bydło zabite z powodu nosacizny lub wścieklizny wynagrodzenia niema.

Kwestyonaryusz. Wyższa władza za pośrednictwem komór celnych zażądała od znaczniejszych domów handlowych pogranicznych niektórych danych o handlu przewozowym i wywozowym. Pytania: Skąd przeważnie sprowadzane są zagraniczne towary, jaka jest ich cena fabryczna i płaca za przewóz? Który przeważnie okrąg przemysłowy sprowadza towary zagraniczne? Kto głównie je wysyła i odbiera? Jakie opłaty komisyonerskie pobierane są od sprowadzanych z zagranicy towarów za pośrednictwem ekspedytorów? Czy nie zauważono jakich szczególnych okoliczności, tamujących handel przywozowy i jakie byłyby konieczne środki w celu rozszerzenia i ożywienia handlu przywozowego wogóle? Z którego przeważnie okręgu przemysłowego pochodzą towary przeznaczone na wywóz za granicę? Jaka jest wartość jednostki miary lub wagi tych towarów w miejscu wytwarzania i jaka płaca za przewóz jednostki miary lub wagi z miejsca wytwarzania do komory? Kto głównie i jakie towary wysyła za granicę? Jakie potrzebne są środki dla rozszerzenia i ożywienia handlu przywozowego? Jakie są opłaty komisyonerskie od towarów rosyjskich, wysyłanych zagranicę za pośrednictwem ekspedytorów?

Handel. Jeden z kupców z Teheranu przybył do Warszawy dla zawiązania stosunków handlowych pomiędzy Królestwem a Persyą. Przedmiotem handlu ma być głównie cukier.

— Do oddziału warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu p. T. Majewski nadesłał list z Aleksandryi w Egipcie, upraszający o przysłanie cenników wyrobów krajowych w celu porównania cen tamtejszych z naszemi i zbadania, które wyroby mogłyby mieć odbyt w Egipcie.

Z Czardżui donoszą, iż woda w Amu-Darii straszuie opada. Niektóre jej dopływy zupełnie wyschły. Ludność pozbawiona wody.

Ze szkoły. Z powodu zwiększenia opłaty wpisowej w średnich zakładach naukowych, zawiązuje się w Petersburgu towarzystwo niesienia pomocy niezamożnym uczniom, wyłącznie dla opłaty wpisów.

— Towarzystwo tanich mieszkań w Petersburgu urządziło oddział mieszkań dla niezamożnych uczących się kobiet, tudzież założyło w nim księgozbiór z funduszów ofiarowanych przez zmarłego księcia Oldenburskiego.

Wybuch. Koło Felladorfu pod Wiedniem dwie fabryki prochu wyleciały w powietrze. Dwanaście osób poniosło śmierć na miejscu, ranionych bardzo wiele.

Wyjaśnienie. Senat wyjaśnił, iż prezesowie i członkowie stali zjazdów sędziów pokoju mają prawo powstrzymywać wykonanie wyroku, gdy po jego zapadnięciu strony się pogodzą.

Żydzi. W r. b. do uniwersytetu moskiewskiego przyjęto tylko siedmiu starozakonnych, którzy ukończyli gimnazyum z medalami złotymi.

Towarzystwo wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych w Warszawie urządza w swoim lokalu zbiorowe lekcye buchhalteryi.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Sewerynie M. 1) Według Smitha pochodzi to z podstawienia się w miejsce osoby cierpiącej. 2) Wydano już bardzo wiele dzieł, zwłaszcza we Francyi. Po polsku niedawno wyszła książeczka Sosnowskiego. Co do dziedziczności: Ribot w przekładzie polskim. *Wszechświat* rozpoczął drukować uwagi nad tym przedmiotem, które poprzedził odnośną bibliografią.

Ralf. Bicz Według żądania dawno już odesłano.

Delcie. Tyle pytań bezimiennie! Pomimo to odpowiemy.

Nieznajomej. Ażeby Panią przekonać o naszej dobrej woli, list pomieścimy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Сентября 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.